



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

RODZINA I TRADYCJA.

Związki rodzinne w najszerszym ich rozgałęzieniu, połączone serdeczną życzliwością i dawnym uświęconym obyczajem, nigdzie nie były tak cenione jak w naszym kraju. Przywiązywano do nich wielką wagę, dzielono się dobrą i złą dołą, wspierano solidarnością; wspólną była sława pięknych czynów, gnębiącą hańba. Można powiedzieć, że to poszanowanie stanowiło w naszej przeszłości jedną z wybitnych cech charakteru narodowego. Świadczy o tem bogactwo języka, wyrażające się w określeniu najrozmaitszych stopni pokrewieństwa, wyróżnienie pokrewieństwa od powinowactwa, wreszcie przysłowie „woda po dziesiątym kisielu,” którego znaczenie już dziś nie wszystkim jasne.

Znana jest ogólnie wysoka cześć, jaką otaczaliśmy zasłużonych przodków i duma, jaką zdobyta przez nich chwała budziła w potomkach. Ludzie, którzy w nagrodę zasług zajmowali zaszczytne i wpływowe stanowiska, odznaczając się położonemi na polu obywatelskim usługami, charaktery wielkie, wykute z jednej sztuki granitu, poświęcenia bohaterkie żyły w pamięci rodziny, stawiane za modłę, na której się kształcił, podług której urabiać się miało młode pokolenie.

Prawda, że ta cześć niewłaściwie z czasem przybrała rozmiary, że wytworzyła kastowe pojęcia arystokratyczne; prawda, że pokrywając osobistą nicość, zasłaniano się nieraz zasługami przodków; ale nadużycie nie znosi zasady, a ta była dobra, niepozbawioną pewnej wzniosłości. Zgodnie z tym poglądem i pełne głębokiego znaczenia są słowa Narcyzy Zmichowskiej w liście

do brata, wybitnego demokraty: „Czemu chcesz ojcom tę słodką odbierać pociechę, że dzieciom nieskażone oddadzą imię, czemu młode pokolenie pozbawiać wspomnienia cnot naddziadów swoich; czemu nakoniec przed występkiem nawet tę zapórę zdejmować, że hańba długo jeszcze występniego przeżyje.“ Zdaje się, że na tak postawiony rozumny argument i pełni dumy magnaci i demokraci zagorzali zgodzić się powinni, bo brzmi w nim czysta i piękna sprawiedliwości bezstronnej nuta.

Po reakcyi jednak, jaka w tym względzie zapanała w bliższych nam czasach, nastąpiła zupełna obojętność: przestała nas zajmować historia bliższej nawet rodziny, jak gdyby bezdomnymi i bezdzietnymi byli nasi ojcowie, jak gdyby w ich przeszłości wczorajszej i onegdajszej nie przewijały się piękne charaktery, czyny zaszczytne, dramaty ciekawsze niż w powieści. Gwałtowne burze zmiotły przesady, zrównały między sobą ludzi, przemawiając silniejszym nad wymowne rozumowania argumentem konieczności; słusznie zatem cenimy dziś więcej osobiste niż przodków zasługi, ale czemuż wpadając w drugą ostateczność, mamy lekceważyć naszych przodków, obojętnie pomijać zasługi współczesnych nam krewnych, po co ubożyć się z własnej woli zerwaniem sympatycznej łączności z tymi, co wyrosłszy z jednego z nami pnia, zasłużyli na wdzięczną pamięć i szacunek.

Nie ulega zaprzeczeniu, że przy ścięzionym horyzoncie pole naszego działania szcuplejszem się stało, że w skutek tego mniej mamy sposobności do rozgłosnych czynów, sławą opromienionych zasług; ale starczy nam zawsze pola, na którym możemy świecić cnotą, wyższym umysłem i służbą obywatelską dla gorąco umiłowanego społeczeństwa.

Pesymizm, który nas ogarnął, zrodził obojętność lub lekceważenie, nie pozwalające dostrzedz i ocenić właściwą miarą cichej zasługi i poświę-

cenia: dziś zdarza się, że syn nie zna dokładna przebiegu życia swego ojca, nie wie z jakimi on się łamał trudnościami, jakie zwalczał przeszkody, jakie ukochał ideały; co przemyślał, co przecierpiał. Przy sposobności raz i drugi przytoczą mu w sensie moralu przebyta przez ojca koleje; ale też i na tem koniec, nie zna on biegu życia ojca w szczegółach, któreby pozwoliły mu rozstrzegać w historyję całkowitą i dokładną. Różnorodne jej okresy zawsze zagadkami dla niego zostaną.

Przypuśćmy, że ten pogląd odnośnie do rodziców i najbliższej rodziny zbyt pesymistycznym się wyda, że go u gólniac nie można; ale do pewnością należy, że młode pokolenie bardzo mało jest świadome życia i charakteru współczesnych sobie dalszych krewnych. Wielką jest szkodą ta strata indywidualnych i uczuciowych bogactw. W każdej prawie rodzinie znajdują się osobistości, które przerastając ją o całą głowę wartością moralną, uderzają obcych swą wyższością; często jednak nie wie o niej młodzież do rodziny należącą, bo w bliższym otoczeniu nikt jej nie zwrócił uwagi, nie przedstawił zajmującego eposu, któryby mógł żywo zająć, a nawet rozentuzymować młode, wrażliwe na piękno umysły.

Twierdzenie to z osobistego zaczerpnięte doświadczenia: zadawane dorosłym uczniom jako temat piśmiennego wypracowania lub ustnej opowieści obrobienie jednej z wybitnych w danej rodzinie postaci, zwykle chybiało celu; dziewczęta nie umiały wyróżnić tej, która dalej stojącym była znaną i podług zasługi ocenioną. Wina takiego przeoczenia spada na matki, które nieznają i nie cenią bogatego swego rodziny skarbcza, albo nie dzielą się z dziećmi dorobkiem pięknych czynów i zacnego charakteru swych krewnych.

Gdyby starsi opowiadali młodym historyję każdego zacnego członka, należącego do rodziny, umieli zaznaczyć jedną z wybitnych epok jego życia, piękny czyn przez niego spełniony, prze-

żyty bolesny dramat, postać ta stałaby wtedy w innym oświetleniu, wzmocniłoby się rodzinne przywiązanie, wzbogaciło serce, pomnożyły żywe, godne naśladowania wzory, których wpływ byłby silniejszy od wpływu oddalonych od nas wiekami historycznych postaci.

Pomijając czyny do bohaterskich zaliczone, przytoczę tu kilka z życia przeciętnych przykładów.

Do grona rodziny należy adwokat, który nie wyróżnia się na pozór może żadną wybitną cechą, ani wyższym talentem; dowiadujemy się o nim, że od czasu gdy został prawnikiem, prowadzi pamiętnik, w którym, powodując się etyką i ścisłą bezstronnością, zapisuje sprawy krzywe, nieuczciwe, z wyszczególnieniem adwokatów, którzy dla zysku podejmują się ich obrony, że czuwa nad tem, aby dla tej sprawy zapewnić po swojej śmierci następcę. Skoro pokrewnej młodzieży fakt ten wiadomym się stanie, niezawodnie więcej się swoim wujem zainteresują, innymi oczami patrzeć na niego zaczną.

Inna rodzina ma wśród swoich członków zamężnego doktora, który wszystkich znajomych leczył bezpłatnie, a żył oszczędnie, zaoszczędnie nawet, stosownie do posiadanego majątku, łatwo więc mógł uchodzić za skąpego. Ale zacnemu i rozumnemu człowiekowi, który znał doświadczenia najpilniejsze potrzeby społeczeństwa, przewodniczyła piękna zasada: oszczędzał nie dla siebie, ale dla biednych, i zapisał kilkadziesiąt tysięcy rubli na stypendya dla studentów, dla odznaczających się zdolnością rzemieślniczych uczniów i na wydawnictwo dzieł popularnych z zakresu przyrody. Narazony na zarzut pospolitego skąpstwa, po uświadomionym młodzieży o pełnym zasługi czynie, jakże w odmiennym a pięknym stanął oświetleniu.

Polski wojownik w czasach Napoleońskiej epopei, dawając oddziałem, wchodzi na jego czele do małego miasteczka we Francji w chwili, gdy wystawione było na napad nieprzyjaciela, czy też krających w okolicy maruderów; uderza na nich, rozprasza i ocala od rabunku miasto. Wdzięczni za niespodziewaną pomoc mieszkańcy ustanowili żelazny fundusz i jako wieczysty dowód pamięci wypłacają corocznie kilkaset franków najstarszemu w linii męskiej członkowi rodziny.

Zamożny urzędnik, w starszym już wieku zaślubił młodą biedną sierotę, której był opiekunem. Wkrótce potem przybył do niego w odwiedziny przyjaciel z synem. W sercu młodych, przestających z sobą przez czas długi, zbudziła się sympatya, która bez świadomości i winy obojga przeszła w gorętsze uczucie. Doświadczony znawca serca ludzkiego szlachetny człowiek, nie chcąc stać im na przeszkodzie do szczęścia, sam postarał się o rozwód i połączywszy młodą parę, stał się najtroskliwszym jej opiekunem. W szczęściu ich i wdzięczności czerpał nagrodę swego pięknego czynu, a umierając, przekazał im swój majątek.

Orzeszkowa stworzyła w jednej ze swych nowel przesłiczny typ starej panny, lekceważonej przez całą rodzinę. Jakimże szacunkiem i współczuciem otoczą ją młodzi, gdy się dowiedzą o przeżytych przez nią w cichości bólach, o piornie, który jej szczęście zdruzgotał i na wieczne skazał osierocenie. Ta smutna szara postać, służąca często za cel żartów i urągowiska, w jednej chwili urosła i wypiękniała w ich oczach, wzbudziła cześć głęboką. Czemuż oni o tem, jaką ona była, wcześniej nie wiedzieli?

A jakże często znajdujemy w rodzinach wśród kobiet ciche anioły poświęcenia, istne siostry miłosierdzia, opiekunki chorych i nieszczęśliwych, śpieszące na pierwszy odgłos niedoli z jałmużną chleba i uczucia. Wyrzekły się przyjemności i szczęścia, zapomniały o sobie, o swoich prawach do kropli słodyczy, żyją dla drugich, a ślad ich drogi znaczy się łąką współczucia i miłosierdzia serdecznem. Takie białe i wonne kwiaty wykwitają bujnie na naszej społecznej niwie, uszlachetniając ją swoim posiewem; ale czy zawsze spotykają się z równym swego uznaniem?

Trzeba tylko umieć patrzeć w serce i w życie, a przekonamy się, że nie brak w każdej prawie

rodzinie bliższej lub dalszej osobistości pożytecznych, pięknych, uświęconych cierpieniem, cichą zasługą, służących z zaparciem się poślubionej idei; nie brak ciekawych i wzniosłych typów psychologicznych; nie brak ciekawych i wzniosłych typów psychologicznych; nie brak domów uważanych za przybytek, opromieniony zasługą i pięknymi wspomnieniami, do którego młodzież pielgrzymować powinna, aby uczyć się trudnej życia sztuki. Tym sposobem wzmocnią się rozluźnione węzły pokrewieństwa, wzmocni ciąg tradycji, wytworzy naturalne siłą wspólnej krwi stowarzyszenie na wzajemnej pomocy i życzliwości oparte.

Rodzina wzięta w ściślejszem znaczeniu stanowi kardynalną podstawę pomyślności społecznej, nie możemy też patrzeć bez głębokiego żalu, jak się rozpręga w wielu krajach. My mamy jeszcze w tej mierze mniej powodów do narzekania, bo rodzina u nas na trwalszych opiera się podstawach, religią jest dla niej poważna spójnia przywiązania i obowiązku; szkoda tylko, że dalsi krewni stają się sobie coraz więcej obcy.

Nie można wątpić, że rozbudzone poszanowanie tradycji z jednej strony, a z drugiej świadomość pięknych stron charakteru i zasług żyjących krewnych, może wzmocnić te związki. Rozległe pole pracy i wpływu stoi tu przed rodzicami, matką szczególnie, mają obowiązek zaznajamiać swe dzieci z dziejami rodziny. Najpewniej ku temu celowi wiodącym środkiem jest oprócz ustnej opowieści, spisanie historii kilku pokoleń, z dodatkiem kroniki żyjących krewnych, która tworząc archiwum rodzinne, wskazywałaby młodzieży godne czci osobistości, wspólną krew z nią połączone, bogaciła ją doświadczeniem, uczyła przykładem i w dalszą przyszłość przeciągała sympatyczny węzeł tradycji.

Rodzina oparta na solidarności wypełni lepiej zakreszone koło swej pracy i przyspieszy tym sposobem rzeczywistnie najszczytniejszych ideałów ludzkości w myśl Brodzińskiego:

„Czyn każdy w swoim kółku, co każe duch boży, A całość sama się złoży.“

J. Z.

Pogrzeb dryady.

W północy cicho zaszumił las
Z za obłoków wyrzał księżyc błady,
Osrebrzył liście starych drzew i zgasł
A z gąszczów ozwały się dryady.

I powoli, nucąc żałobny śpiew
Zeszły się w tłum na starej polanie.
I w cieniu wielkich bladostrebrnych drzew
Śpiewały, tłumiąc w piersiach łkanie.

Nadciągnął elfów siwowłosych rój
I nadpływały na pogrzeb mgły sine
I rozplakał się rzewnie rzewnie cichy zdroj
W tę smutną północną godzinę

Ptactwo leśne zleciało się z gniazd
I zaśpiewało smętną pieśń chórem
Potem na niebie zgasły ognie gwiazd
I las stał w milczeniu ponurem

Aż nagle wiatr uderzył w liście drzew
Zapłakał i orszak duchów błady,
Powoli, nucąc pogrzebowy śpiew
Popłynął w dal z ciałem zmarłej dryady.

Włodzimierz Perzyński.

POSTACIE NIEWIEŚCIE w poezjach L. Kondratowicza.

Studjum psychologiczno-etyczne

przez

Stanisława Ostrowskiego.

(Dalszy ciąg).

A oto obraz kobiety społecznej, charakter dość niezwykły i odrębny, o którym jednak mówi poeta, że według zdania znających serce niewieście kobiet, nie ma w nim fałszu, ani nieprawdopodobieństwa. Postacią tą jest Marya z dramaciku p. t. „Chatka w lesie,“ córka zamożnego marszałka. Młoda, bogata i piękna, której świat się uśmiecha i nęci złotemi nadziejami niezmiernego szczęścia, spotyka młodego poetę, Henryka, marzyciela, którego dusza zmęczona walką i czująca wstręt do czczego światowego życia, wzdycha do prostoty, spokoju i ciszy. Serca obojga młodych zapłonęły miłością ku sobie nawzajem: on widział w niej wcielenie swego ideału lat młodzieńczych, niebiankę zabłąkaną wśród ludzi, — ona nie mogła oprzeć się urokowi młodego, rozmarzonego poety. Lecz Henryk jest ubogi — i to go wstrzymuje od sięgnięcia po rękę bogatej jedynaczki marszałka, któryby zapewne nie zgodził się na ubożego zięcia. W jednej ze scen widzimy Henryka przy Maryi, która go bada o przyczynę troski i smutku na czole. Gdy on się zwierza przed nią ze swej obawy, Marya dodaje mu otuchy i upewnia, że ojciec odda jej rękę Henrykowi, którego lubi i szanuje; na wzmiankę zaś Henryka, że on nie będzie w stanie dać jej dostatków, do jakich przywykła od dziecka, że nawet nie ma własnej strzechy, pod którą mógłby ją jako żonę wprowadzić, Marya mówi doń z ożywieniem:

„To kup chatkę w lesie.
Małą, z niskimi okny, otoczoną sosną.
Wkoło skopiem ogródek... tam kwiatki wyrosną;
Zaprowadzim rój pszczołek w gospodarstwo na-
[sze,

Potem parę gołębi wpuścim na poddasze;
Kupimy parę krówek — toć będzie i mleko;
A w rzeźce, co za domem płynie niedaleko,
Pluchotać będą rybki, pływac ptactwo wodne:
Czyż jeszcze takie życie niedosyć wygodne?
Wszak my cichej natury wychowawcy prości;
Czy nam światu zazdrościć? — niech świat nam
zazdrości.“

Gdy Henryk wspomina o jej świetnej doli i zamóżnej rodzinie, ona mu odpowiada: „Czyż większe szczęście nad ustronną ścianę, gdzie płynie jedno życie w dwoje serc rozlane?“ i dalej snuje przed nim piękne marzenia przyszłości: on będzie sobie pisał — czasem wyjdzie z fuzją do lasu lub z wędką na ryby; ona podlewać będzie kwiaty w ogródku, wydoi krówki i malin nabiera... Wyobraźnia jej oczarowana jest tym obrazem cichego wspólnego pożycia i w chwili, kiedy to mówi, sama najszczerzej takiego życia pragnie. Uszczęśliwiony Henryk nabywa za ostatni grosz, jaki mu po rodzicach pozostał, ustronną chatkę w lesie i zajmuje się jej odnowieniem, by ją uczynić mieszkalną. Tymczasem mija rok — i widzimy Maryę bardzo różną od dawnej: przybyło jej rozumu i doświadczenia trochę — wedle własnego jej zdania o sobie, dziwnem i nawet śmiesznem marzeniem wydaje się jej dziś owa chatka w lesie; czuje, „że w tej chatce byłoby jej za ciasno, tam życie spowszednieje, tam wdzięki zagasną...“ a ona tak lubi namiętnie zabawy i tańce i cały ten świat błyszczący i piękny... Gdy więc staje przed nią Henryk, oznajmia, że chatka gotowa i pyta, czy zechce mup.

dać rękę na wspólne, ciche w niej z nim życie—ona nie ma odwagi podać mu ręki na to życie i wprost wyznaje: „ja kocham pańską chatkę, *alem jej niegodna*.”

Mija znów rok życia... Zrozpaczony Henryk zakopał się samotnie w swojej chatce leśnej, przebył ciężką chorobę — wreszcie poświęcił się całej pracy i czynieniu dobrego wśród ubogich w okolicy wieśniaków. Marya tymczasem rzuciła się całą duszą w wir zabaw światowych, tańczyła, stroiła się, błyszczała jak gwiazda na salonach. Z początku ją to upajało i bawiło... lecz wkrótce coraz bardziej zaczęła się przekonywać o czczości takiego życia, czuła w sercu jakąś pustkę i tęsknotę, której najświetniejsze zabawy zapelniać nie są w stanie. Straciła wreszcie zupełnie chęć i ochotę do zabaw i nie mogąc niczem zapelniać czczości życia, zapragnęła odbyć z ojcem jakąś daleką podróż zagranicę w tej nadziei, że może uspokoi ją serdeczny pacierz zmówiony w Watykanie, może ją rozweseli natura genewskich wybrzeży, może na kraterach Etny żywiej zadrzy jej serce. Ojciec zaniepokojony ciągłym smutkiem i bladnością córki, chętnie przystaje na tę podróż. Wyjeżdżają w towarzystwie niemłodego sędziego, który ostrzy apetyt na posąg Maryi. W drodze—na mostku w lesie—pęka koło u powozu i podróżni w oczekiwaniu zreperowania pojazdu idą do lasu i natrafiają na chatkę Henryka. Tu Marya, będąc w możności z bliska przypatrzeć się cichej, lecz pożytecznej pracy poety-wieśniaka, jego spokojnemu życiu, pojmując, że to życie, które przed rokiem odstraszało ją swoją jednostajnością pozorną i nudą, jedynie szczęśliwym jest na ziemi. Czuje w głębi serca budzącą się miłość dawną ku Henrykowi, a poznawszy już całą marność życia światowego i pewną już siebie, że ciche a pracowite życie wustrojni leśnej wystarczy jej i uczyni szczęśliwą, zwraca się do Henryka ze szczerą prośbą: „Ty mi sam pokaż życie *czymem i ofiarą*; wiesz co? luby! odnowmy naszą chatkę starą, nasze stare marzenia...“ i w uznaniu swojej winy poprzedniej klęka przed nim z błaganiem:

„Przebaczenia Henryku! ja byłem tak płochy!... Jam niewarta tej chatki!...“

Lecz właśnie ów żal szczerzy i skrucha za popełnioną dawniej omyłkę czyni ją godną tej chatki, godną cichego w niej, szczęśliwego życia z ukochanym. Bo też to w gruncie rzeczy dobra, szlachetna dusza, zaślepiona tylko na razie łudzącymi pozorami świetnego życia światowego; przejrawszy zaś, staje się zdolną dać ciche szczęście ukochanemu i sama zasługuje na to szczęście.

W dramacie „Kasper Karliński“ rola głównego bohatera dramatu, jak to widać już z samego tytułu, przypada mężczyźnie. Równie plastycznie jednak występuje w tym utworze przed nami postać niewieścia, skreślona przez poetę rysami charakterystycznymi nader i wyraźnymi; jest nią Dorota Karlińska, żona bohatera tytułowego. Nie wpływa wprawdzie ona bardzo czynnie na rozwój, ani na przebieg akcji w dramacie, nie przyspiesza katastrofy, uwydatniając jedynie—przez kontrast—męskość bohaterską charakteru męża, godną wistocie sytuacji wyjątkowo tragicznej; tem niemniej jednak poeta roztwiera przed nami taką głębię tej biernej, lecz bezmiernie kochającej i głęboko nieszczęśliwej duszy, w takiej pełni przejawia się przed nami cały ogrom jej bólu, nieszczęścia i rozpacz, że to wszystko czyni postać tej niewiasty nadzwyczaj ciekawą pod względem psychologicznym i moralnym; warto więc, byśmy przyjrżeli się bliżej tej kreacji Kondratowicza.

Widzimy ją na samym wstępie dramatu, zaraz w pierwszej scenie, odczytującą w obec małego syna Zygmunta i sługi—powiernicy swej, Marty, z księgi Żywotów Świętych Pańskich ustęp o męczeństwie Machabeuszów. Żywa wyobraźnia dziecka zapala się barwnymi scenami „Żywotów“, podnieca się gotowością bohaterską poświęceń, z jaką bracia-męczennicy szli na śmierć okrutną,—chłopiec roi dla siebie o takiej śmierci i zapytuje matkę: „Gdyby mnie wlekli na zabicie, tybyś mi błogosławiła?...“ Pytanie to dziwne wrażenie wywiera na Karlińskiej; czyta-

taniem scen wstrząsających i krwawych mistycznie nastrojona dusza drgnęła przy tych słowach dziecięcia jakimś lękiem nieokreślonym, jakimś przecuciem z trwającą choć mglistym, z którego na razie sama przed sobą nie umie zdać sprawy. „Zkąd ci to przyszło?“ pyta syna niespokojnie — i pomyślawszy chwilę, odpowiada niepewna: „Och! ja nie wiem sama.“ Pragnie też zatrzeć co najprędzej w umyśle przykre wrażenie, wywołane słowami syna i uspokoić ów lęk wewnętrzny i trwogę; pociesza się więc myślą, że przecież teraz inne są czasy, i że „Bóg ofiarą krwawą Abrahama słabej niewiasty doświadczać nie będzie,“ — w końcu jednak wyznaje: „*Jabym nie umiała być matką Grachów albo Machabejów...*“ Czuje, że miłość ku dziecku jest jedyną podstawą jej życia, że w okrutnej próbie pierś by jej pękła... natomiast jednej tylko nie zlekłaby się ofiary: „Oplakać ciebie i *umierać z tobą*.“

I wierzymy jej słowom—czujemy bowiem, że to nie czczy frazes rozegzaltowanego serca, lecz szczerze wyznanie głęboko odczutej prawdy; wierzymy tem łatwiej, gdy się w scenie następnej dowiadujemy z jej ust o losach całego jej życia. Zagrożona w młodości zemstą szaleńca Stadnickiego, którego afektem wzgardziła, jedyny środek ratunku widziała w przyjęciu Kaspra Karlińskiego, „rycerza osiwiałego“ i ojca siedmiu synów-rycerzy, który wzamian za jej rękę ofiarował pewną opiekę i obronę słabej i prześladowanej niewieście. Sytuacja nie pozostawiała wyboru — trzeba było albo przyjąć rękę starego wdowca, lub stać się ofiarą zemsty wzgardzonego kochanka. Stała więc na kobiercu ślubnym z Karlińskim, przywiązała się z wolna do zaczętego jego charakteru, powzięła szczerą ku niemu szacunek i wdzięczność, ale o miłości, o żywym i gorętszym uczuciu i mowy być przecie nie mogło. Natomiast niezaspokojone uczucie młodego serca znalazło ujście w miłości macierzyńskiej, gorącej i wielkiej, jaką ukochała jedynę swe dziecię; uczucie to wypełniło całą jej duszę, stało się jedynym celem jej życia. Świadczy o tym głęboko — i tą świadomością tłumaczy się właśnie owo jej przekonanie, że nie przeżyłaby śmierci swego dziecięcia.

W rozmowie poufnej z Martą — po odejściu Zygmunta — odsłania Karlińska całą swą duszę, całą treść swojego życia. Mówi więc o swej miłości ku dziecku, o niepokoju i przecuciu trwożliwym, jakie w niej budzi nieraz widok ukochanego syna: „W jego zabawach zawsze na końcu dostrzegam śmierć ciemną... Och! gdyby *jeszcze* jego mi wydarto!...“ woła z trwogą tajoną, nie śmiejąc nawet dokończyć tej myśli okropnej... W tych wyrazach—szczególniej w owem *jeszcze*, oprócz trwogi o syna, brzmi również niewyznana skarga serca pokrzywdzonego przez los, które umiało wyrzec się wielu pragnień i praw do szczęścia... Mówiąc o mężu, wyznaje, że „nie pamiętając na włos jego *swój*, dałam się chętnie zaprzęgnąć do jarzem...“ Mówi wprawdzie zaraz w wierszu następnym: „byłam szczęśliwa,“ pozwalamy wszakże sobie wątpić o pełni szczęścia, które w *jarzynie* chodzi... Wymawiając wyraz „szczęście,“ miała zapewne na myśli spokój, cichą zgodę domowego pożycia, która czyniła jej los znośnym. Więcej natomiast skłonni jesteśmy wierzyć jej, gdy w tych oto wyrazach mówi o mężu:

„... on mnie osłania. —
Cnota, zasługa i szlachetność duszy
Więcej niż młodość budzi *przywiązania*!...
Gdy codzień widzę jego piękną duszę,
Gdy codzień słyszę jego piękne czyny,
Jak go nie mam kochać—kiedy *czuć go muszę*?...“

Tak więc uczucie, jakie ma dla męża, jest *uczuciem szacunku i przywiązania* — w którym pierwiastek gorętszej miłości nie gra żadnej roli... O dziecku zaś swoim mówi w głęboką tkliwość: „kocham nad wszystko, nad wszystko na świecie!...“ Trwożą ją tylko jakieś „sny bolesne,“ te jego przecucia męczeństwa, te jego zabawy „co ciągle śmierć wróżą.“ i w jakimś niby jasnowidzeniu przyszłości woła z głębi serca: „Och!

wiele, wiele potrzeba mi męztwa! Boże, daj siłę, bo cierpieć mam dużo!“

Jak w atmosferze, przeładowanej nadmiarem elektryczności, organizm fizyczny wyczuwa zbliżającą się burzę, zanim jeszcze pierwszy grom uderzy, — tak dusza jej w napiętej atmosferze wypadków politycznych znajduje się pod brzemieniem nieokreślonych przeczuć nieszczęścia. Gdzież więc źródło tej wrażliwości nadmiernej, tej czujności na głos przeczuć, która czyni ją zdolną jasnowidzeń przyszłości? Bezwątpienia — tkwi ono głównie w niezbadanych, tajemniczych głębiach duszy ludzkiej w ogóle, a niewieściej w szczególności, o której można chyba twierdzić, że jest czulszą i wrażliwszą na tego rodzaju wewnętrzną impulsy i echa, niż dusza mężczyzny. W danym wszakże razie bezwątpienia duży wpływ na tę wrażliwość i nastrój mistyczny duszy wywierają okoliczności zewnętrzne, blisko jednak skojarzone z jej sercem, mianowicie czytanie wstrząsających swą grozą scen z Żywotów Świętych, oraz dziwne myśli i słowa ukochanego jej dziecięcia.

Przecucia te nie są ponne. Niedaleka chwila, w której mają się ziścić w sposób dla nieszczęśliwej okrutny. Lecz idźmy koleją, jaką toczy się akcja w dramacie. Karlińska otrzymuje pismo od męża, który—jako wierny stronnik króla Zygmunta, broni Olsztyna od partyi niemieckiej i Zborowskich, trzymających stronę Maksymiliana. W swym liście ostrzega Karlińską żonę, by się miała na baczności, gdyż w tych stronach obraca się z „zaprzędaną zgrają“ stronników Maksymiliana Stanisław Stadnicki — ów właśnie niefortunny pretendent do ręki Karlińskiej. Jeszcze list przez nią do końca odczytanym nie został, gdy we drzwiach zjawia się Stadnicki, opanowany nagle podejściem dwór Karlińskich.

Pod świeżem wrażeniem listu męża, Karlińska, ujrzawszy nienawistną postać na progu swego domu, zjawioną tak niespodzianie. — gotowa przyjąć ją raczej za widmo rozstrojonej wyobraźni, niż za żywą istotę. Niestety!... widmo nie zniknęło — i przemówiło głosem, znany jej przed laty, w którym drgało szyderstwo i tryumf z osiągniętej zemsty... Pierwszem wrażeniem, jakiego doznała przy zjawieniu się Stadnickiego było uczucie trwogi rozpaczliwej i lęku: „on przyszedł tutaj ze złemi zamiarami...“ te najpierw słowa wyleciały z jej ust zbiegających. W chwili następnej owo uczucie bierne przechodzi w fazę aktu czynnego woli, skierowanej ku znalezieniu obrony; słyszymy więc, jak woła napół bezprzytomnie: „Ratunku! ludziki!... mój mąż... mój mąż!...“ Wszakże to uczucie trwogi osobistej, lęku o siebie samą — wnet mija, — a raczej przytłumiona zostaje przez inne stokroć silniejsze, — jakim jest obawa i trwoga o syna. Służy to zarazem miarą tej wielkiej miłości macierzyńskiej, tego najczulszego, a zarazem bohaterskiego uczucia, pod wpływem którego kobieta słaba i bezbronna, drżąca przed chwilą lekko o siebie, — naraz przedzierzga się w lwicę, gotową ostatkiem sił bronić zagrożonego dziecięcia... Gdy Stadnicki porwa do rąk jej syna, ona — w wybuchu rozpaczliwej energii woła: „puszczaj go potworze!“ Widząc następnie, jak na rozkaz Stadnickiego żołdacy wiążą dziecko, gotowa sama poddać się największym męczarniom, byle tylko ocalić ukochanego syna: „Tygrysie! tyranie!“ — woła do okrutnika, — „krwi tobie trzeba? *wysącz ją rada!* pij!... żłopaj! ciesz się!“ Jednak silne napięcie tak gwałtownego uczucia, jakim jest rozpaczliwa odwaga, w słabej duszy kobiety nie może trwać długo; następuje reakcja — wielki odpływ chwilowo wzbudzonej energii, — i oto słyszymy, jak w drugiej zaraz chwili broni Karlińska swego dziecka przeciw napastnikowi innym, bardziej kobiecym orężem — *blaganiem o miłość*: klęka przed Stadnickim i woła ze łzami: „*Ulituj się panie, przebac!* co matka bezprzytomna gada! oddaj mi syna!...“ Widząc jednak, że żołnierze uprowadzają już go za drzwi — jeszcze raz zdobywa się na wysiłek rozpaczliwy i wybucha: „Już go powlekli!... Czekajcie chwilę! o siepacze wściekli!... *ja wydobędę sił moich ostatki!*... Spieszycie konno — *ja pieszko polecę, ja was dopędzę*, — pozwólcie

mi gonić! Gdy wreszcie Zygmunt był już za drzwiami, — w poczuciu bezsilności własnej porucza go matka opiece Boga — i woła za nim:

„Idź, drogi synu! idź w Bożej opiece!
Ja krew przeleję, ja łzy będę ronić,
Trafie do króla...
Poczekaj synu! pokrżep się nadzieją!
Ja w ślad za tobą polecę — jak strzała!...“

(Dokończenie nastąpi).

ODCZYTY.

II.

Walery Gostomski: „Co to jest dramat Wagnerowski?“ **D-r med. Henryk Nusbaum:** „Ideal do bra ze stanowiska higieny ciała i duszy.“

W przeszłym numerze wyraziliśmy nadzieję, że odczyty tegoroczne, dzięki swej zajmującej treści, przystępnej cenie biletów i szlachetnemu celowi, cieszyć się będą u publiczności powodzeniem dużym. Niestety, dziś już stwierdzić możemy z przykrością, że doznaliśmy pod tym względem zawodu. Pamiętamy czasy, bo zresztą należą one do bardzo niedawnej przeszłości, gdy bilety odczytowe formalnie rozchwytywano; jednego miejsca pustego próżnobyś szukał na sali. Dziś o krzesła wolne nietrudno, liczba ich nawet wydaje się czasem ogromną, w obec przerażających pustek na niektórych prelekcjach. Złośliwi twierdzą, że w Warszawie przeszła już moda odczytów, które, jak wszystko u nas, podlegać muszą kaprysom tej wszechwładnej pani. Być może, — słuszniejszym jednak wydaje nam się przypuszczenie, że publiczność nasza przesycona jest rautami i koncertami, których miewamy w tym czasie po kilka lub kilkanaście (licząc z prywatnymi) na tydzień. Na domiar złego, powzięto nieszczęśliwą myśl urządzenia jednocześnie dwóch seryj odczytów, tak, że czasem w jednym dniu odbywają się dwie prelekcje publiczne i, naturalnie, przeszkadzają sobie wzajemnie. Jest to tem dziwniejsze, że w pierwszej połowie postu odczytów nie było wcale...

Jakiegokolwiek przyczyny odegrały tu zresztą decydującą rolę, zaznaczyć musimy, że ciekawy odczyt p. Walerego Gostomskiego o dramacie wagnerowskim (we wtorek 14 b. m.) zgromadził w sali ratuszowej szczerą garstkę słuchaczy, którzy ze zdziwieniem rozglądali się po szeregach pustych krzesel, nie mogąc zrozumieć, co się stało z wrzekomą muzykalnością Warszawy. Prelegent zresztą widzi w Wagnerze nie tyle muzyka, ile raczej poetę dramatycznego w szerokim tego słowa znaczeniu, obdarzonego w równym prawie stopniu talentem poetyckim, muzycznym i plastycznym i, dzięki tym wyjątkowym i bezprzykładnym zdolnościom, nie mogącym wyrazić się należycie w żadnym z dotychczasowych rodzajów sztuki, zmuszonego szukać dla siebie formy nowej, która od nazwiska swego twórcy otrzymała nazwę dramatu wagnerowskiego. Rozległa i wielostronna działalność Wagnera zjednała mu zarówno bezwzględnych czcicieli, jak uprzedzonych przeciwników. Dziś wprawdzie uprzedzenia stopniowo znikają, lecz nawet wielbiciele Wagnera zdobywają się rzadko na głębszy sąd o jego działalności, uważając go przeważnie za muzyka, układającego libretto do swoich oper, gdy tymczasem dowiedzionem jest, że sam autor „Lohengrina“ uważał dramatyczny tekst swoich oper za istotną, główną część swej twórczości.

Dla zaznaczenia związku Wagnera z przeszłością i dla właściwej oceny jego stanowiska w dziejach sztuki, jako wielkiego reformatora

dramatu w ogóle, prelegent w krótkim przeglądzie retrospektywnym przypomniał kolejne fazy tego rodzaju poetyckiego, wyrażającego czynność, działalność, ruch i wprowadzającego nas w sam środek życia. Przedewszystkiem więc poświęcił słów parę dramatom greckim, celującemu zwłaszcza olbrzymią siłą plastyki, której dramaturgia nowoczesna dorównać już nie mogła. Wspaniałe wizje Szekspira nie mogły znaleźć na scenie należytego uzewnętrznienia. Utwory jego dziś jeszcze ulegają wielu skróceniom. Dramaty Szyllera również nie zawsze odpowiadają w całości wymaganiom sceny, a nieudolne usiłowania dramaturgów pseudo-klasycznych dobrowolnie skępowały swobodny polot natchnienia sztucznością narzuconych przepisów i formulek. Genialne wreszcie arcydzieła poezji dramatycznej romantyków, jak „Manfred“, „Faust“ i inne, zrywając całkowicie lub częściowo z warunkami scenicznymi, są, właściwie mówiąc, dramata ducha, rozgrywającymi się z przedziwną plastyką przed oczyma wyobraźni, ale niedostępnymi dla zmysłów.

W dobie obecnej prelegent nie widzi cech istotnej sztuki ani w dramatach i komediach mieszczańskich, usiłujących odtwarzać z drobiazgową ścisłością rzeczywistość życiową, ani w operach, których tekstem obca jest zupełnie poezja. Zjawiają się wyborne dzieła teatralne, nie mające nic wspólnego z artystem. Wprawa i rutyna zastępują w zupełności natchnienie. Opera z resztą, która powstała za czasów odrodzenia na dworach książąt włoskich, jako naśladownictwo tragedji greckich; wyrobiła się też głównie pod względem dekoracyjnym, zewnętrznym, na niekorzyść prawdy wewnętrznej i siły dramatycznej. Nie chodzi jej o odtwarzanie stanów duszy, lecz o efekty muzyczne i dekoracyjne. Natury genialne, jak Weber, Gluck, Mozart, wzniosły się naturalnie ponad ten poziom, lecz w twórczości Meyerbeera opera współczesna doszła w swej porze za efektem do ostatnich granic możliwości, zapominając zupełnie o dążeniach i aspiracjach ducha ludzkiego, które na szczęście znalazły wyraz w utworach symfonicznych Haydna, Mozarta, Beethowena i innych wielkich muzyków nowożytnych.

Duch czasu jednak domagał się formy dramatycznej, w którejby mógł dać zupełny wyraz wszystkim najgłębszym tęsknotom, pragnieniom i porywom złożonej duszy ludzkiej. Słowo nie jest w stanie wypowiedzieć wszystkich rozwiązanych złudzeń, nieziszczonych nadziei, wszystkich napół świadomych stanów psychicznych nowożytnego człowieka. Wielez nich w muzyce jedynie może znaleźć wyraz właściwy, ztąd też wpływa ogromne znaczenie muzyki w sztuce współczesnej. Jeżeli dramat miał się stać pełnym obrazem istoty wewnętrznej współczesnego człowieka, musiał zużytkować i połączyć wszystkie środki, któremi rozporządza sztuka. Skupienia tego dokonał właśnie Wagner.

Przechodząc do analizy czynników składowych dramatu wagnerowskiego, zaznaczył dalej prelegent, że temu rodzajowi sztuki niewłaściwie nadawano nazwę dramatu muzycznego. Sam Wagner protestował przeciw tej nazwie. Dramat jego istnieje nie dla muzyki i przez muzykę, lecz ma rację bytu w swej własnej istocie, a istota jego jest poezja. Myty i podania ludowe są jednym z ulubionych źródeł jego twórczości. Słowo posiada w niej główne znaczenie, bo w niem ujawnia się wszelka świadoma twórczość umysłowa. Lecz z drugiej strony niepodobna pominąć i innych używanych przezeń czynników ekspresji. „Kto poetę chce zrozumieć, musi kraje jego zwiedzić, a kraje te — to rozległe państwo nocey wszechświatowej. Słowo wyraża uświadomioną myśl poety, lecz w głębi duszy jego wrą bezwiedne prądy, nad którymi „drży słowo, jak ziemia nad połkniętą, niewidzialną rzeką.“ Te właśnie nieuświadomione lub napół świadome stany ducha znajdują u Wagnera potężny wyraz w tonach, łączących się bezpośrednio ze słowami i rodzących się razem z nimi. Muzyka wyraża tu różne stany duszy, wpływające z przebiegu akcji dramatycznej i znajdujące się z nią w ścisłym związku.

Tak pojmując muzykę w dramatach wagnerowskich, odrzucić musimy zarzut braku melodyi, czyniony często jego utworom. Melodye jego, będące wyrazem napół świadomych stanów duszy i rozwinięcia naturalnych intonacji mowy, nie mogą stanowić całości zaokrąglonych i łatwo wpadających w ucho, jak w operach współczesnych. Dramaty wagnerowskie — to dzieła jednolite, gdy opera dzisiejsza jest tylko mechanicznym zlepkiem szeregu utworów muzycznych, złączonych w całość sztuczną. To nam tłumaczy i rolę orkiestry w jego dramatach. W zwykłych operach orkiestra pozostaje w luźnym bardzo związku z przebiegiem akcji, lub nawet nie łączy się z nią wcale. W dramacie wagnerowskim stanowi ona motywację psychologiczną stanów duszy i jest jednym z najważniejszych czynników ekspresyjnych, przypominającym pod pewnym względem dawny chór greckich tragedji.

Muzyka, słowo i obrazy plastyczne stanowią w dramacie wagnerowskim ściśle połączoną całość, uzupełniającą i potęgującą odbierane przez widza wrażenie. Przy ocenie utworów jego zapominając o tem niewolno.

Obszerna analiza znaczenia leit motywu w operach wagnerowskich zakończył prelegent swą ciekawą i pouczającą, lecz nieco zadługą prelekcję.

Na brak słuchaczy nie mógł się skarżyć dr. Henryk Nusbaum, którego piękny wykład o idealu dobra ze stanowiska higieny ciała i duszy (w piątek 17 b. m.) zapełnił, jak za dobrych czasów, salę ratuszową po brzegi. Prelegent sięgnął w nim do dziedziny takich instynktów i uczuć ludzkich, jak altruizm i egoizm, miłość rodziny, kraju, ludzkości i miłość samego siebie, i dowiódł, że tylko to uczucie, które „nie na jednym spoczywa człowieku,“ lecz zakreśla kręgi szerokie, ma w sobie życiodawczą moc i jest w swych skutkach dla nas samych zbawienne i pożądane.

Już na niższych stopniach rozwoju, w tak zwanych społeczeństwach zwierzęcych, widzimy wrodzony instynkt gromadowy, skierowany ku potrzebom i dobru gromady; u ludzi odpowiada mu uczucie społeczne, egoizm gromadowy, którego rozumieć powinien, że miłość własna i miłość społeczeństwa pokrywają się wzajemnie, że rozumny egoizm szukać musi własnego zadowolenia i szczęścia tylko w olbrzymim oceanie szczęścia powszechnego.

Zdarza się jednak, że ludzie swą obojętnością dla otoczenia najbliższego, dla kraju i społeczeństwa, tłumaczą miłością ludzkości. Kochać ludzkość całą — brzmi to niewątpliwie pięknie, zachodzi jednak pytanie, w jaki sposób uczucie to może być uzewnętrzniane w czynie. W pewnych dziedzinach działalności ludzkiej, w literaturze np. nauce i sztuce, jest to poniekąd możliwe; w zwykłym życiu lepiej jest uczuć swych nie umieszczać zbyt daleko, interesy ludzkości całej zbyt są nieuchwytnie dla przeciętnej jednostki, aby służyć im mogło stać się czemś więcej, niż czerpieniem frazesem, którym egoiści lubią niekiedy maskować własne sobkostwo. Miłości własnego kraju i społeczeństwa niewolno więc rozszerzać do miłości kosmopolitycznej, mającej ogarniać uczuciem ludzkość całą, gdyż uczuciu takiemu niepodobna prawie dać wyrazu w działalności czynnej.

Z drugiej strony swą obojętnością dla kraju i społeczeństwa tłumaczymy niekiedy obłudnie miłością rodziny. Prelegent twierdzi wręcz, że niemożna kochać rodziny, nie kochając kraju rodzinnego, że uczucia te znajdują się w ściślejszej zależności wzajemnej; uwzględnia on jedynie rozumną dbałość o siebie, konieczną zarówno dla rodziny, jak i dla kraju. Miłość ludzkości, kraju, rodziny i siebie samego wzajemnie się popierają i uzupełniają.

Egoizm — to potężny popęd. Niebezpiecznie jest ulegać mu zbyt powolnie. Powinien on, jak wszystkie zresztą czyny nasze, popędy i uczu-

Kazimierz Gliński.

KRZYWDA

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg.)

XIII.

Trochę inaczej.

Według praktykowanego z dawien dawna zwyczaju w Hajczyńcach, państwo Rybostwo pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia prawie zawsze przepędzali u Tołpiskiewiczów w Podhajcach. Lecz w tym roku czegoś pan Bonawentura zmarudził, pani Rybina nie nalegała, a Matylda zdradzała niepokój pewien, — chodziła z kąta w kąt, to w tem to w tem zatrzymując się oknie, skarżyła się na szum w uszach i lekki ból w głowie.

Zima nie służyła panie Matyldzie, która stała się coraz więcej ociążała, a twarz miała jakby nabrękała nieco. Utyła znów trochę, co niepokoiło panią Rybinę, pamiętającą Weronikę, matkę męża, której tycie było wstępem do nieuleczalnej choroby. Prawda, że panna Matylda nie skarżyła się na nic, i zdawało się, że jest uosobieniem zdrowia; z przejściem zimy do normalnego zresztą wracała stanu, ożywiało ją powietrze wiosenne, dni całe przepędzała w ogrodzie wśród kwiatów albo wśród zieleni, łąk rozścielających się szerokim do koła kobiercem. Lecz jesienią, jak kwiat wędla, zimą stawała się senną — rozbudzała się dopiero z pierwszymi listkami rozkwitającego bzu.

— Czy dziś, papo, nie pojedziemy do Tołpiskiewiczów? — spytała po przejrzaniu okien wszystkich.

— A chcesz? — zapytał krótko pan Ryba.

Panna Matylda zarumieniła się lekko.

— Nie... ja sobie... ot tak pytam.

Gdy minęła pora obiadowa, nachmurzył się i pan Bonawentura i kazał furmanowi konie w szory ubrać i być w pogotowiu na rozkaz wyjazdu do Podhajec.

Pani Brygitta odezwała się:

— Więc już nie masz nadziei, aby...

— Pst! — przerwał żonie pan Ryba.

— Przecie kazałeś...

— Nie wtrącaj się duszko, tego uważasz, a ja ci później coś powiem.

W parę kwadransów potem nadjechał Grudowski.

— A węch — ha?... Taraz posłuchaj! — szepnął na ucho żonie. — Tego uważasz, wszyscy wiedzą, iż rok rocznie, na pierwsze święto Bożego Narodzenia wyjeżdżamy do Tołpiskiewiczów. Gdybyśmy dzisiaj nie wyjechali, to mógłby ktoś pomyśleć sobie Bóg wie co! A tak? Furman Grudowskiego dowie się, że mieliśmy wyjeżdżać, ale nam przeszkodziła tylko wizyta z Górek, karetę na saniach kazałem nawet naumyślnie z wozowni wytoczyć, ażeby ją spostrzegł Hipolit. Spójrz — stoi! — (Tu wskazał ręką na dziedziniec). Niby nie wiemy nic, a wszystko — niby — samo się tego — uważasz, układa. Wilk syty i koza cała!

Pani Brygitta była dumna z dowcipu męża.

I rzeczywiście, pierwsze już słowa pana Hipolita świadczyły najwyraźniej, że dostrzegł karetę na saniach.

— Ale państwo gdzie się wybierają? — zapytał.

— Do Tołpiskiewiczów mieliśmy zamiar...

— Niechże nie będę gościem nie w porę.

— Facecye, tego uważasz, — zaśmiał się pan Ryba. — Nie spodziewaliśmy się dziś nikogo, bo w pierwsze święto nikt rodziny nie opuszcza, lecz z Tołpiskiewiczami za pan brat jesteśmy. Ale gość każdy i to jeszcze w takie święto, to

rara avis i tembardziej pożądanym. Grzegorz! — zwrócił się do kamerdynera, — niech Bij karetę wtoczy do wozowni, — do Podhajec dziś nie pojedziemy.

Pani Rybina podziwiała rozum męża, panna Matylda z niezwykłym ożywieniem witała Grudowskiego. Hipolit jednym rzutem oka obwiodł ją całą, i wydała mu się odrobinę inną, odrobinę mniej powabną i ponętą.

Doznał przykrości.

Ale panna Matylda skarżyła się na ból głowy, to mogło źle wpłynąć na jej dzisiejszy wygląd. Tak sobie tłumaczył Grudowski.

Przepędził jednak pół dnia i wieczór cały bardzo wesoło, niby śpieszył się do domu, a opóźniał się z wyjazdem. W panie Matyldzie co chwila zachodziły pożądane przezeń zmiany; przy zbliżaniu się Hipolita ożywiała się widocznie i piękniała. Gdy na odjeździe ścisnął jej rączkę, uczył, że prąd jakiś przebiegł przez jego żyły; wrazenie zupełnie nowe, nad którym myślał trochę.

„Nie rozumiem siebie, — szeptał, zakreślając elipsy w jadalnym pokoju. — Raz, zdaje mi się, że coś w rodzaju serdecznego uczucia budzi się we mnie, to znów, jakby usypiało czy zamierało nawet wszystko. Może już jestem niezdolny kochać? — dodawał po chwili. Ha! w takim razie, — szeptał, — stać mnie zawsze będzie na przywiązanie wielkie, które spokojne da mi szczęście i wprowadzi w koło nowych obowiązków cichego, rodzinnego życia.“

Bez bicia serca, bez przyspieszonego ruchu krwi myślał o panie Matyldzie, lecz za to coraz częściej nasuwała mu się przed oczy i wypełniła sobą niejedną godzinę dumań.

Powoli zaczynał lgnąć sercem do niej.

Nie powziął jednak dotąd żadnego stanowczego postanowienia. Oszukany raz, był teraz bardzo oględny. Jeżeli nie pożył miłości gorącej, chciał przynajmniej pozyskać szczere uczucie, pewność przywiązania, lecz nie oddanie się, jako sprzęt, na którego amatora już niema. Ta myśl go przesładowała czasem i powstrzymywała nieraz w pół drogi. I z tej to przyczyny, podczas ostatniej wizyty świątecznej był grzeczny, lecz nie uprzedzający — nie zrażał, lecz i nie dawał prawa do przedwczesnych nadziei. Pani Brygitta niecierpliwiła się, ale pan Ryba był zupełnie spokojny i coraz lepszych myśli.

— Inaczej, tego uważasz, postępować nie może, boć to nie młodzik, ale mąż dojrzały. Tybys chciała szach-mach, Brygittko, ale już raz szach-mach zrobiła. I co z tego? Powoli, powoli, moja pani, przyjdzie, tego uważasz, koza do woza.

Zapytana przez matkę, panna Matylda podzielała zapatrywania ojca. Ponieważ ona tu jest bohaterką, prosiła więc, by jej pozwolono główną rolę odegrać, a gruszek w popiele nie zaśpi, nie przeoczy chwili stanowczej, która będzie pomyslnem zakończeniem usiłowań.

W jakim stosunku zostawała panna Matylda do Hipolita?

Chciała wyjść zamaż i była pewna, że wyjdzie. Przychodziły jednak na nią godziny zupełnej obojętności, graniczące niemal z apatią. Zniechęcenie i obojętność ta najczęściej przychodziły po chwilach wielkiego, chorobliwego podniecenia, przejawiającego się w niezwykłej wesołości, rozognieniu oczu, ust i twarzy, kończącego się często wybuchami gniewu i płaczem gwałtownym.

Pana Rybę trwożyły te przejścia od wesołości nadmiernej do smutku gnębiącego i kamiennej obojętności. Wiedział, że jedna z głównych przyczyn nienormalnego stanu usposobienia i tycia panny Matyldy (oprócz familijnej ku temu skłonności i zbliżającego się staropanieństwa) był brak ruchu i dni całe przepędzane beczynnym. Gdyby panna Matylda czem zająć się mogła i jakiegokolwiek bądź poświęcić się pracy — zniechęcenie do życia, lub nadmierne pożądanie jego, coraz rzadszem byłoby zjawiskiem u niej. Praca, mająca podniosły cel jakiś, poczucie wypełnienia sumiennie przyjętego na siebie obowiązku — oderwałaby jej myśli, krążące wciąż około jednego przedmiotu i prze-

cia, poddawany być surowej krytyce samowiedzy. Wskazówki egoizmu wypływają ze źródeł niskich; odziedziczyliśmy je po przodkach przedhistorycznych, gdy tymczasem wskazówki rozumu są wynikiem rozwoju kulturalnego i wypływają ze źródeł najwyższych i najczystszych.

Interesy jednostki związane są tedy bezpośrednio z interesami rodziny, kraju, ludzkości. Pomysłność jednostki jest tylko błogim skutkiem, spływającym na nią z skuteczniana ideału dobra; szczęście nasze jest tak zależne od szczęścia ogółu, że czyniąc dobrze innym, wznosimy pod gmach szczęścia własnego podwaliny najtrwalsze, a miłość bliźniego jest tym sposobem równoważnikiem najrozumniejszej miłości samego siebie.

Zatrzymawszy się w dalszym ciągu nad różnymi rodzajami naszych uczuć i wrażeń, prelegent doszedł do wniosku, że cierpienie fizyczne ma nieograniczoną niemal moc wzmaganą się, gdy tymczasem rozkosz fizyczna prowadzi do przesyty, kryjąc na dnie swojej czary gorzycy i rozczarowanie. W świecie ducha, przeciwnie, cierpienie ma stosunkowo niewielką władzę nad człowiekiem, a rozkosz zdolna jest wyolbrzymić do szczytnej ekstazy i stworzyć nam prawdziwy raj na ziemi.

Egoizm sam przez się nie jest w stanie zaspokoić naszych interesów i zapewnić nam szczęście w życiu. Siostrą egoizmu jest obawa, patrząca przez szkła powiększające na niebezpieczeństwo wszelkie. Źródłem cierpienia bywa dla egoisty przesadna w ogóle troska o samego siebie. Egoista bowiem i zbyt gorączkowo ucieka od cierpienia i zbyt gorączkowo dąży do szczęścia. Skala rozkoszy fizycznej jest, jak zaznaczyliśmy, niewielka. Zbyt gorące ich pożądanie daje niesmak, zawód i rozgoryczenie. Zadowolenie istotne leży tylko w rozkoszy duchowej, polegającej na dążeniu do celów, leżących poza interesami egoistycznymi, a więc w urzeczywistnieniu ideału dobra, w prawdziwej miłości bliźniego, rodziny, kraju ludzkości, bytu wreszcie samego i siły twórczej.

Stany duchowe wywierają, jak wiadomo, duży wpływ na naszą stronę fizyczną. Nieustająca obawa, będąca skutkiem egoizmu, wywołuje z biegiem czasu straszną w swych skutkach hipochondryę. Histerya, szerząca się dziś w sposób zatrważający, znajduje się również w bliskiej styczności z egoizmem, będącym jedną z jej cech zasadniczych. Źródło histeryi kryje się zwykle w przyczynach głębszych, w zwyrodnieniu i dziedziczności, niemniej jednak na rozwój jej wywiera wpływ niewątpliwy nadmierna wybujałość egoizmu.

Do uczuć, wpływających z egoizmu, należą również zazdrość i zawiść, pozbawiające egoistę chwili spokoju, zmieniające istnienie jego i osób najbliższych w straszliwe piekło udręczeń.

W przeciwstawieniu do egoizmu, dr. Nusbaum podniósł wysoko sztandar uczuć altruistycznych, zastanawiając się kolejno nad miłością rodziny, społeczeństwa, kraju rodzinnego, dobra samego w sobie i szczytnych ideałów ogólnoludzkich. W uczuciach tych widzi on potężne działanie zadowolenia wewnętrznego, oraz źródło zdrowia zarówno ciała, jak duszy.

Zaprotestowawszy w gorących wyrazach przeciwko błędnemu pogładowi, jakoby walka o byt była prawem, rządzącym ludzkością, przypomniał prelegent, że nieraz już w dziejach własnego ducha święcili tryumfy nad brutalną siłą i przemocą, a walce o byt przeciwstawił prawo rozwoju, doskonalenia się i postępu, nierozdzielnie z bytem związane.

W świecie ludzkim jedna tylko walka ma za sobą rację bytu, a tą jest — walka miłością, najrozumniejszy zaś egoizm jest zarazem najwyższym altruizmem, głoszącym i wykonywującym w życiu szczytną ideę miłości bliźniego.

Gorące oklaski świadczyły wymownie, że poglądy prelegenta trafiły do przekonania słuchaczy...

Wl. Bukowiński

rzuciła na pole, aczkolwiek skromnych czynów, lecz zawsze mających wartość pewną w ogólnej robocie świata.

Lecz cóżby miała do czynienia bogata panna z Rybów rodu?

Prawda, że dwór Hajczyński leżał pośrodku wsi o zadybach dwiestu, gdzie pół tysiąca dusz spało, drzemało serc pół tysiąca, że choroby i inne nieszczęścia nawiedzały lud boży, a podczas robót letnich dzieci, pozostawione bez opieki matek, były narażone na różne, częstokroć nawet śmiertelne wypadki—lecz, czy ktobądź skierował w tę stronę myśl panny Rybianki? czy kto jej wytłumaczył znaczenie słów Ewangelii: „Dużo będzie żądano od tych, którym dano dużo.“ Pani Brygitta nie zrozumiałaby podanej myśli, pan Ryba, myśląc o życiu czynem, pojmował je wcale inaczej.

— Ruszaj się, Matyldko, bo tyjesz, tego uważasz, jak fasa...

A myśląc o zajęciu, radził:

— Wszyj włóczkami taboret do fortepianu, zrób patarafkę pod lampę, ale nie siedź z założonymi rękami.

Czuł, że potrzebowała coś zrobić, lecz nie wiedział, co robić miała właściwie.

Minęły święta, i w Górkach wróciło wszystko do zwykłych gospodarskich zajęć. W dniu terminu naznaczonego przez pana Henryka, Hipolit udał się do Zieman i zażądał wypłaty 60,000 rb., przy tej sposobności chciał obejrzeć i szkielet domu, o który targi prowadził Czubiński.

Zieman, noszący już strój europejski, okrągły jak bułka, biały jak panna, z mocnymi rumieńcami na twarzy i czarnym zarostem, nadzwyczaj uprzejmie przyjął pana Hipolita, lecz razem z tą poufalością, jaka cechuje dorobkowiczów. Spodziewając się Grudowskiego u siebie, służbę przebrał w liberyę, przytarta w prawdzie na szwach i składach, ale świecąca guzikami, sam zaś ustroił się w klejnoty. W krawacie miał złotą szpilkę ze wspaniałym brylantem, brylantowe guziki świeciły w gorsie koszuli śnieżystej białości, spinki przy mankietach również były złote z brylantami pośrodku. Pulchne a delikatne palce świeciły się od pierścieni, jeden szczególnie na wskazującym palcu skrzył się tęcza blaskami. To też pan Zieman wciąż puszczał w ruch ten palec drogocenny, podnosił go, to opuszczał, mówił: „patrz pan!“ wskazując na obojętne przedmioty, manipulując przytem wciąż pierścieniem. Miarę bogactwa właściciela Zwolenca dopełniała olbrzymia, złota dewizka, zwieszająca się ciężko z obu stron kamizelki. Zdziwił się jednak niemile, zobaczywszy Grudowskiego w codziennym, zwykłym ubraniu. Pan Zieman był przekonany, że Grudowski we fraku się pojawi, — nie dał jednak poznać po sobie doznanego zawodu i z całą galanterią, ruszając obydwojma łokciami, zbliżył się do gościa.

— No, ja pana, panie Hipolit, — rzekł na powitanie, — spodziewał się dzisiaj; ja wiedział, że pan przyjedzie i nagotował pieniędzy. Niechże pan siada, tu — na fotelu — proszę bardzo... na fotelu, ja zawsze na fotelu siedzę.

Przystąpiono od razu do interesu, który w kilka minut skończono. Pan Hipolit odebrał należne Henrykowi pieniądze, pokwitowanie wydał i zabierał się do wyjazdu.

— No? jakże? tak — bez śniadania? Ja pana, panie Hipolit nie puszcę bez śniadania. Aleksander! — zawołał, zwracając się ku drzwiom.

Wołany wnet się zjawił.

— Aleksander! — powtórzył Zieman.

Służący przestąpił z nogi na nogę.

— Czy ty nie słyszysz, co ja ciebie krzyczę?

— Co jasnie pan rozkaże?

— Aaa! — pan Zieman podniósł się na palcach. — Wódka i ślidy, na srebrnej tacy dać... i świńską szynkę dać. Słyszysz, Aleksander?

— Słyszę jasnie panie.

— I wino dać, takie stare wino, co to pięć rubli butelki ja kupił... Rzodkiewkę także z mojej oranżeryi. Słyszysz, Aleksander?

— Słyszę, jasnie panie.

— Masz! a pamiętaj: wódka, ślidy, świńska szynka, wino, co to ja po pięć rubli butelka kupił i rzodkiewkę z mojej oranżeryi!

Dwa razy powtórzył rozkazy, co oczywiście nie dla Aleksandra, lecz dla pana Hipolita czynił, by temu czasem nie przesłyszała się świńska szynka i rzodkiew z oranżeryi pana Zieman.

Na srebrnej tacy wniesiono śniadanie.

Po wypiciu wódki, Zieman ostentacyjnie wziął się do szynki, zapewniając, że on zawsze ją jada, nawet w sobotę, przy czem manipulował wskazującym palcem, dziwiąc się w duchu, że pan Hipolit nie bardzo zważa na połysk jego brylantów.

Nazajutrz pan Hipolit wysłał pieniądze bratu i wrócił do Górek.

Rozpoczął się karnawał, w sąsiedztwie balów kilka już było zapowiedzianych, trzeci z rzędu przypadał w Hajczyńcach. O panu Hipolicie niezapomniano teraz: zjawił się Tołpiskiewicz z Podhajec, Poturlicki z Homoń, Daszewicz z Daszewa, Sikorski i Trypolski z Jezior Suchych, przypominając się dawnym stosunkom, których zerwaniu w rzeczywistości sam pan Hipolit był winien, zakopawszy się, jak kret, na wsi.

— Byłeś w Hajczyńcach, nie odmówże i nam, proszono.

Grudowski nie widział potrzeby uporu, tembardziej, że część ciężarów zajęć gospodarskich na barki Sochackiego i Groblewskiego już przeniósł, wizytą zaś w Hajczyńcach zaświadczał zerwanie swoje z dotychczasowym życiem odludka i mizantropa.

Na balach spotykał się z panną Matyldą.

Witany serdecznie, nie mniej serdecznie witał i coraz więcej przywiązywał się do niej. Nie owiewała go urokiem żadnym, nie przyciągała podniosłymi myślami, lecz on już skwitował z tych marzeń romantycznych, jeżeli je miał kiedy. Zresztą nie ją jedną spotykał — nie tylko jej usta uśmiechały się już do niego. Były stokróż piękniejsze od niej przyznawał to sam — lecz przy dotknięciu rąk, przy zbliżeniu się do którejkolwiek nie doznawał nigdy tak silnego uczucia. Ginał wprawdzie i ten urok, gdy z oczu ją tracił, lecz żadna z widzianych kobiet choć tak przelotnego nie wywierała na nim wrażenia.

— Przywiąże się, będzie dobrą żoną, a tego pewny jestem, — myślał.

Nie tęsknił jeszcze za panną Matyldą, lecz do spokoju rodzinnego życia, do domowego ogniska czuł już tęsknotę. Czasem jednak, gdy myślał o niej i badał to spokojne uczucie, którego miłością nazwać nie mógł, czuł jakiś smutek niewytłomaczony, pragnienie czegoś innego. Pożycie z panną Matyldą byłoby zgodne i dobre, miałby jakieś „gospodarskie szczęście“, jak mówił z lekkim ust skrzywieniem — i nie nadto! A są jakieś chwile zapomnienia, rozkoszy, szału, po których dopiero przychodzi obraz ten drugi, jako powolny spadek z błękitów na ziemię, mający zawsze czar wspomnień pierwszych miłości uniesień.

— Tego nie będzie!

I stawał znów w pół drogi i szeptał w półniechęceny:

— Czy warto?

Lecz gdy wracał do siebie, po wieczorze przebytym u Sochackich, mając oczy nasycone słodkim widokiem tych dwojga staruszków, a uszy pełne dziecięcego świergotu — chciałby ściany swojego domu podobnym gwarem wypełnić, kogoś rękami swemi opleść i do serca przycisnąć. I znów panna Matylda, jak cień uparty, przesuwała się przed nim; nikt inny — tylko ona.

Gdybyż była przynajmniej podobną do tej dawnej Matyldy, którą wiodł pod rękę do młyna. Teraz pamiętał ją tak dobrze: oczy błyszczały ogniem, w ruchach czuć było życie, żywość w mowie, pełność postaci całej nie miała nic z tej obrętkliny, która ją specjała obecnie. Oczy mienne, czasem bezmyślne, pod niemi malutkie dostrzegł woreczki, których nie było dawniej.

„Lecz, czy można tak po doktorsku rozbiierać obraz kochanki? (kochanką nazwał ją w myśli swojej)... Nie! tem imieniem nie nazwę jej nigdy — żoną... może, ale kochanką — nigdy!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Alaska i poszukiwacze złota.

(Dokończenie).

IV.

Z przejściem Alaski pod panowanie Unii, poszukiwacze złota rzucili się na lodowe rozłogi w pogoni za milionami.

Pierwsze próby jednak były bezowocne. Dopiero w 1880 r. poszczęściło się lepiej niejakiemu Juneau, który wyruszył z Sitki po złote runo w towarzystwie przyjaciela swego Harrisa i 2-ch Indian. Garstka ta, po przebyciu w nędznej łodzi, naładowanej prowiantami niezliczonych kanałów, ciągnących się wzdłuż poszarpanych brzegów Alaski, wylądowała w miejscowości, gdzie piasek obfitował w złote grudy. Nowożytni ci argonauci natychmiast objęli miejscowość tę w posiadanie, zatknawszy na niej zwyczajne słupy. W taki to sposób wchodzi się w prawa własności w krajach, gdzie nie ma notaryuszów.

W miejscowości tej Juneau wznosił szope, która była pierwszym budynkiem mieszkalnym nowego miasta Juneau. Obecnie Juneau jest największe miasto w Alasce i nadzwyczaj zajmującym. Posiada 3000 mieszkańców (nie licząc Indian), trudniących się handlem. Na wiosnę Juneau stanie się punktem zbornym mnóstwa „argonautów“, zdecydowanych na spędzenie lata nad brzegiem Klondyku; tu zaopatrzą się oni we wszystkie niezbędne do tej wyprawy przybory. Juneau posiada już 5 kościołów, tyleż szkół, 20 sklepów, zakładów i bazarów. Osiało tam pięciu lekarzy i aż siedmiu adwokatów.

Łatwa komunikacja między San Francisco a Juneau, musi, oczywiście, znakomicie wpłynąć na rozwój tego ostatniego miasta, przeznaczonego z czasem niejako na przedmieście krainy złota.

Już dziś całe rodziny odbywają wycieczki z San Francisco do Juneau, już dziś turyści dają się tam wyzyskiwać, nabywając wspaniałe futra, które mogliby kupić w Paryżu o połowę taniej.

Godzi się zaznaczyć, że założyciel miasta Juneau nie jest pierwszym w rodzinie, któremu przypadł w udziale podobny niepowszedni zaszczyt. Mianowicie stryj jego tegoż nazwiska w r. 1835 założył miasto Milwaukee, liczące dzisiaj przeszło 200,000 mieszkańców.

Z Juneau nowi poszukiwacze skierowali się na północ. Dodawały im otuchy legendy, krążące wśród Indian i głoszące, jakoby hen, daleko, za olbrzymiemi górami, nad brzegiem ogromnej rzeki, jednej z największych w świecie, zwanej Jukon, leżała miejscowość, gdzie wystarcza schylić się, by zacerpnąć pełną garścią złota. I dziś jeszcze niektórzy, pomimo ostatnich odkryć, uparcie trwają w mniemaniu, że najpiękniejszych pokładów złota jeszcze nie odnaleziono.

Czerwonoskórzy opowiadają o istnieniu krainy stokróż bogatszej, i kopacze, marzący o wzbogaceniu się, nawpół zamarli w swych futrach. snią o tej nieznannej, tajemniczej ziemi obiecanej, gdzie wszystko jest ze szczerzego złota. A Indianie, wskazując w kierunku bieguna, uparcie bają o owej odległej krainie złotych gór. Łatwo zrozumieć, jak podobne opowiadania podniecają i tak już rozgorączkowaną wyobraźnię kopaczy.

Brodząc na oślep niemal wśród wiecznych śniegów i lodów, wytrwali poszukiwacze odkryli narresznie pokłady złota, i niektórzy z nich sownie wynagrodzeni zostali za swe trudy. Tak np., niejaki Jerzy Stick, błądząc w Kwietniu 1896 r. nad brzegami Klondyku, jał przepłukiwać blo-

tnisty piasek nadbrzeżny i w ciągu jednego dnia wyostał złote bryłki wartości 75 dolarów.

W jaki sposób wieść ta lotem błyskawicy rozniosła się poza granice tych niezmiernych a pustych obszarów — niewiadomo. Gorączka złota dokazała już niejednego cudu. Dość, że w miesiąc po odkryciu Jerzego Sticka, nad brzegiem Klondyku wyrosło miasteczko o 200 mieszkańców.

Wielu z tych pionierów doszło do fortuny. Niejaki Richardson w przeciągu kilku miesięcy stał się milionerem, i co dziwne, sam o tem nie wiedząc. Posiadał „claim“, z którego gdy wydobyl pewną ilość złota, powrócił do Stanów Zjednoczonych, sprzedawszy uprzednio za stosunkowo niewielką cenę czwartą część swej posiadłości Curliemu Monroe. Ten ostatni odprzedał swoją część pewnemu konsorcjum angielskiemu za 150,000 dolarów. W ten sposób Richardson ujrzał się posiadaczem 450,000 dolarów, o czem zresztą dowiedział się znacznie później, gdy wieści z Klondyku nadeszły do New Yorku.

Te i tym podobne wieści zelektryzowały umysły. A wkrótce potem, gdy się pokazało, że podobne uśmiechy fortuny nie są rzadkością, powstał gorączkowy ruch emigracyjny w północne strefy. San Francisco, Tacoma, Scattle i wszystkie inne wielkie porty oceanu Spokojnego, niepomnie swych daleko sięgających projektów, zarzuciły myśl o podbojach handlowych na rynkach dalekiego Wschodu Azyatyckiego. Z niecierpliwością oczekiwano przybycia okrętów, powracających z Alaski i całe flotyle drobnych statków wypływały na ich powitanie. I wyczerpani, umęczeni pionierzy, w obec pełnego entuzjizmu przyjęcia, odzyskiwali siły i z przejęciem i zapalem odpowiadali na pytania, któremi ich zarzucano. Otwierali worki pełne złotego piasku, roztaczali swoje bogactwa przed pożądanym wzrokiem tłumów, i chętnie pomijali szczegóły o swych cierpieniach, aby nie zamroczyć jasnego kolorytu odmalowywanego przez nich obrazu.

Można sobie wyobrazić, jak podniecająco działały na tłumy statystyczne dane, publikowane w dziennikach amerykańskich. Na pokładzie np. „Excelsiora“ powróciło do ojczyzny dwudziestu kilku bogaczy, którzy rok przedtem opuścili ją biedni jak Hiob. Parowiec „Portland“ przywiózł do ojczyzny 64 zubożonych poszukiwaczy złota, z których „najuboższym“ był posiadacz 350,000 franków.

Bogactwa te stanowią owoc niezliczonych trudów i cierpień. Godzi się zaznaczyć, że złote żyły kryją się zazwyczaj w krainach nowych, nieznanych, gdzie trzeba ciężką i nieustanną staczać walkę z wrogami żywiołami. Ilu ludzi straciło życie w kopalniach Kalifornii, Transwaalu, Australii, a ostatnio Alaski — zliczyć niepodobna. Gdy widzimy złotą monetę, starannie odrobioną i świetnie błyszczącą, przez myśl nam nie przechodzi, ile nadludzkich wysiłków i pracy krwawej na nią się złożyło.

V.

Przeprawa do Klondyku połączona jest z niesłychanymi trudnościami. Droga od Juneau do Dawson City — nowego miasta w krainie złota — jest jedną z najuciążliwszych w świecie, dla kobiet zaś — niemal nie do przebycia. Leżą przed nami wrażenia z tej podróży, skreślone ręką pani Klary Berry, która w Marcu 1896 r. wyruszyła z mężem do Eldorado północy. Przytaczamy wyjątek z tego opisu, dla niewiast bynajmniej nie zachęcającego.

„Zabraliśmy ze sobą piecyk i namiot, który ustawiano co wieczór na miejscu, pokrytem dostatecznie twardą warstwą śniegu. Za posłanie służyły nam suche gałęzie, zaledwie po wielu trudach udało mi się zdobyć skórę niedźwiedzia, co już stanowiło zbytek niepowszedni. Podróż odbywałam na saniach lub w łódce, co było dla mnie mniej uciążliwym, niż piesza wędrówka. Ale zimno też było, zimno nie do zniesienia!... Gdy rzeki i jeziora zawałone są bryłami lodu, podróż staje się wielce niebezpieczną, szczegól-

niej dla kobiet; to też rzadko która jest w stanie przetrzymać trudy tej podróży... Najednym postoju, w odległości 15 mil ang. od Dawson City, mąż mój znalazł chałupę bez drzwi i okien i tuśmy przeczekali zimę. Dla przedostania się do wnętrza budynku, mąż mój był zmuszony wybić w jego ścianie otwór. Wszystkie jednakże te cierpienia poszły w zapomnienie, skorośmy zaczęli znajdować złoto i oddawać się blizkim urzeczywistnieniu marzeniom o wolnej od trosk przyszłości. Nie zapomnę nigdy dnia, kiedy z błota nadbrzeżnego wydobyła bryłę złota wartości 331 dolarów.“

Podobnie synowa sekretarza skarbu Stanów Zjednoczonych odbyła daleką tę wędrówkę i chociaż w jednym ze swych listów przyznaje, że klimat tamedny dla kobiet i dzieci jest wcale nieodpowiedni, niemniej jednak zapewnia, że z radością powróci nad złotodajne brzegi Klondyku.

Najwięcej uczęszczaną przez kompanie, kierując się do Klondyke, jest droga, wiodąca przez przesmyk Chilkoot. Zazwyczaj poszukiwacze złota przybywają z San Francisco lub z Scattle do Juneau, gdzie się zaopatrują, we wszystko niezbędne do przebycia Chilkootu. Przesmyk ten utworzony jest z rozpadlin lodowych, ze stert głazów, z wawozów dochodzących nieraz do 2000 metrów głębokości, ze skał stromych i prawie nieprzystępnych, przebycie których połączone jest z niesłychanymi trudnościami i tysiącem niebezpieczeństw. Wichry i śnieżne zawiewy na chwilę nie ustają, i żadnego schroniska, żadnego drzewa nie znajdzie tam nieszczęśliwy wędrowiec, oślepiiony, wyczerpany i obłożony pakunkami.

Przeprawy przez Chilkoot niepodobna przedsięwziąć bez pomocy Indyan, obytych z trudami wędrówek po górach podbiegunowych. Przez dzień posuwać się można nie więcej nad 2 kilometry, i to przy sprzyjającej pogodzie, wyłabiając schodki w lodowcach, czepiając się głazów, sterczących śród śniegu i wlokąc za sobą sianie naładowane żywnością. Liczne katastrofy upamiętniły przeprawy przez Chilkoot. Jedną z nich przypląciło życiem dwudziestu ludzi: olbrzymia skała oberwała się i stoczyła do jeziora, i w powodzi utonęła cała wyprawa.

VI.

Przez cały czas trwania przeprawy przez Chilkoot, wędrowiec nie traci z oczów śnieżnego, w niebo strzelającego wierzchołka olbrzymiej góry św. Eliasza, najwyższej w Alasce. Są ludzie, którzy przepadają za nadzwyczajnymi przygodami i denerwującymi wrażeniami, ludzie, dla których groza śmierci ma urok największy, czarna otchłań przepaści — uśmiech ponętny. To też już od dziesięciu przeszło lat próbowano wspiąć się na szczyt lodowego olbrzyma. W latach 1886, 88, 90 i 91 angielscy i amerykańscy uczeni podróżnicy próbowali bezowocnie dosięgnąć wierzchołka góry św. Eliasza. W połowie drogi (jak np. profesor M. J. Russel w r. 1891) u samego prawie celu wędrówki siły wyższe zmuszały odważnych do powrotu. Dopiero ostatnia wyprawa uwieńczona została pomyślnym skutkiem. Tym pierwszym, który wkroczył na szczyt osławionej góry, był Ludwik Sabaudzki książę Abruzzów. W d. 31 Lipca r. z. w samo południe, śród radosnych okrzyków szczupłej garstki nieustraszonych podróżników, flaga włoska tryumfalnie zakołysała się na najwyższym wierzchołku góry św. Eliasza. Wrażenia z tej wycieczki opowiada ks. Abruzzów z zapalem, który jednak, zdaniem książęcego podróżnika, słabym zaledwie może być wyrazem tych czarodziejskich widoków, wspaniałych, porwujących krajobrazów, roztaczających się przed zdumionym okiem wędrowców. W chwili dotarcia do wierzchołka, powietrze było zupełnie spokojne i czyste. Z jednej strony, na skraju horyzontu, za olbrzymimi płaszczyznami lodowymi, miękko, łagodnie zarysowywały się fale oceanu Spokojnego. Z przeciwnej strony roztaczał się widok na przesmyk Chilkoot i na wąwoz Biały.

Żaden widok alpejski nie dorównywa piękności tego czarującego krajobrazu północnego!

Książę Ludwik Sabaudzki wyruszył z Sitki, gdzie wyprawa wyekwipowała się do tej ryzykownej podróży i z kładzie małego parowca, uprzejmie udzielonego przez gubernatora, dopłynęła do zatoki Jakuckiej. Wyprawa śmiałego podróżnika, zorganizowana przy pomocy jego adjutanta hrabiego Cagni, składała się z fotografa Wiktora Selli, doktora Filipa Franciszka Gonelli, p. Ingrahama, tudzież pięciu wytrawnych przewodników, sprowadzonych ze Szwajcaryi i dziesięciu tegich tragarzy, obytych z trudami górskich wycieczek.

Podróżny, skoro mu się udało szczęśliwie przebyć niebezpieczny przesmyk Chilkoot na granicy Kanady i Brytanii, zstępuje na brzeg jeziora Lindemana i omijając jeziora Benneta, Taku, przy Błotnistem zatrzymuje się dla budowy łodzi, co mu zabiera sześć dni, pozem czeka go osobliwa przeprawa wodna. Miejscami łódź zaledwie dostrzegalnie posuwa się po nieruchomej powierzchni wód, miejscami znów porwana prądem gwałtownym, wiruje, miota się w podskokach szalonych. Podróżni, silnie przymocowani do przodu łodzi, drągami odpychają łódź od sterczących nad wodą olbrzymich głazów i pni drzewnych i nikną z szaloną szybkością przy akompaniamencie ryku spienionych fal, skrzyknięciu łodzi i wstrząśnięć potężnych. Po tej pełnej wrażeń przeprawie czeka wędrowców droga lądowa wielce uciążliwa ze względu na roje owadów tnących niemiłosiernie i równie natrętnych i jadowitych, jak osławiona mucha tse-tse, będąca plagą środkowej Afryki.

Nad brzegiem jeziora Lebarge budują podróżni nową łódź, w której przez rzeki Levis, Hotalingua, Matę i Wielką rzekę Łososia wypływa się na wspaniałą rzekę Jukon, przewalającą większe jeszcze masy wód, niż Mississipi. Złota rzeka Klondyke stanowi niewielki dopływ Jukonu i dostęp do niej nie przedstawia zbyt dużego trudu.

VII.

Główny pierwiastek śród kopaczy, zaludniających brzegi Klondyku, stanowią obywatele Stanów Zjednoczonych. Nazwiska wielu z nich zdradzają irlandzkie pochodzenie. Nie należy sądzić, jakoby poszukiwacze złota rekrutowali się z pośród zwyczajnych włóczęgów lub w ogóle osobników o nędznej wartości moralnej. Przeciwnie, są to przeważnie ludzie uczciwi, do pewnego stopnia dostatni i pełni nieustraszonej odwagi. To też nazwa „awanturników“ w zastosowaniu do nich nie powinna być braną dosłownie. Podróż do Klondyke jest dość kosztowna, gdyż wynosi od New Yorku blisko 2000 franków; rzecz prosta, że nie każdy pozwolić sobie może na tak kosztowną wycieczkę.

Najbardziej zadziwiającym objawem jest nieposzlakowana uczciwość kopaczy. Trudno uwierzyć, że w Dawson City, w tej atmosferze gorączki i upojenia widokiem złota, kradzieże są niemal nieznanne. A wszak nie strach przed odpowiedzialnością stanowi tam bodziec do poszanowania cudzej własności. Rząd kanadyjski wydelegował wprawdzie do Dawson City pięciu agentów policyjnych, lecz ci, po przybyciu na miejsce, rzucili służbę i zaciągnęli się do szeregów kopaczy.

Nieraz zdarza się, że w otwartych szopach, zbudowanych na drodze, wiodącej do Klondyke, którzy przeciągają setki wychodźców, na podłodze poniewiera się garnek pełen złotego piasku; widocznie jeden z kopaczy pozostawił tu swój dobytek, którego dla niewiadomej przyczyny nie mógł ze sobą zabrać. I żadnym z podróżnych wypoczywających w tej chacie, przez myśl nie przejdzie przywłaszczyć sobie ten skarb, i za rok prawy właściciel, powracając do kopalni, znajdzie go nienaruszonym. A wszakże gdzie, w jakiej innej miejscowości zamach na cudzą

własność byłby bardziej usprawiedliwionym, jeśli nie tam, gdzie gorączka złota podburza wszystkie namiętności, gdzie gry hazardowe, ta plaga kopaczy, podniecają wszystkie umysły, gdzie dzienny obrót szynkowni, nawet dachem nieprzykrytych i handlujących jedynie lichą wódką, dochodzi do 10,000 franków?

Życie w kopalniach jest bajecznie drogie. Robotnik otrzymuje do 10 franków za godzinę, a pomimo tak wysokiej płacy, zaledwie wystarczyć może na własne potrzeby. Ceny wszystkich produktów są szalenie wygórowane: za tuzin jaj płacono do 5 franków! Posiłek składa się z szynki, grochu i konserw i nie można zarzucić jadłospisom w Dawson City, jakoby grzeszyły urozmaiceniem i wykwentem potraw. Bogacze, mogący płacić kucharkom 400 dolarów miesięcznie, pozwalają sobie na dodanie do tych spartańskich potraw, jako deser, leguminy z mąki, cukru i.. tłuszczy toki lub niedźwiedzia. Letnią porą roboty w kopalniach nie są zbyt uciążliwe. Sztęgarzy, uzbrojeni w narzędzia wielce pierwotnej konstrukcji, przypominające pudło o dnie pochylem, pokrytem siatką przegródek i zaopatrzony w lejek, wydobywają złotodajne błoto i przemywają je dopóty, dopóki nie pozostanie samo czyste złoto.

Wielu używają jeszcze mniej skomplikowanych przyrządów. Żona jednego Indyanina wydobyla cennego kruszcu za 50,000 franków przy pomocy zwyczajnej butelki i puszki od konserw.

Poza grą niewiele mają kopacze rozrywek. Niektórzy zabrali ze sobą instrumenty muzyczne, dzięki czemu zabawy taneczne są w Dawson City na porządku dziennym. Ponieważ liczba kobiet jest nieznaczna, a tancerzy moc, przeto przy każdym zaproszeniu do tańca górnik ofiaruje swej damie dolara. Jest nadzieja, że w roku bieżącym bale podbiegunowe będą bardziej ożywione, ponieważ wiele odważnych niewiast zapowiedziało swe przybycie z nadejściem wiosny nad brzegi Klondyku, pod przewodnictwem pastora ewangelickiego.

Latem kopacze zazwyczaj zamieszkują chaty w pobliżu swych działków. Zimą zakopują się oni w obszernych jamach podziemnych, przykrytych drewnianym dachem, w którym szczeliny zatykają kawałami futra. W ten sposób, rzadko wychylając się na świat Boży ze swego schroniska, spędza poszukiwacz złota sześć miesięcy trwającą wieczną noc podbiegunową.

Na początku zimy liczone przeszło 3000 górników, w części zapóźnionych nowoprzybyłych, w części zaś zaciętrzewionych, nienasyconych kopaczy, zdecydowanych raczej przetrzymać okropne męczarnie ponurej, surowej pory, niż oddalić się choć na dzień jeden z tej ziemi obiecanej.

VIII.

Lecz nad złotym rajem tych marzeń rozkosznych, nawisła groźna chmura ponurej rzeczywistości. Przez jakiś czas zapatrywano się na to ryzykowne przedsięwzięcie optymistycznie, sądzono, że uda się wczas zaopatrzyć w żywność górników, pozostałych w Dawson City. Aliści gdy rozeszła się wieść, że okręt płynący z pomocą do Klondyku, uwiązał w lodowcach i zmuszony był cofnąć się przed nieprzebytą zaporą, okrzyk grozy wyrwał się ze wszystkich piersi i dalekiem echem odezwał się na całym lądzie Ameryki.

Co się dzieje w tej chwili z trzema tysiącami nieszczęśliwych zgłodniałych, żywcem zagrze-

banych w śniegach i lodach, wśród czarnej nocy i mrozu, dochodzącego do 50 stopni? Jakżeż straszne muszą być cierpienia tych na zagładę skazanych, stojących oko w oko z okropną śmiercią i znikąd nie mogących oczekiwać pomocy i zbawienia w chwili, gdy życie zaczęło się do nich tak rozkosznie uśmiechać!

Używano nadludzkich wysiłków w celu przedarcia się do Klondyke, lecz wszystkie rozbiły się o niezwykłe przeszkody. I jeśli dostęp jest do tego stopnia utrudniony w porze, gdy śnieg nie leży jeszcze zbyt wysoko i gdy rzeki są wolne od lodów, łatwo zrozumieć, że przeprawa staje się wprost niemożliwą z chwilą zapanięcia wiecznej nocy, kiedy zima zapanuje w całej pełni.

Jest to zemsta natury. Chciwość ludzka sięgnęła do najdalszych, najskrytszych zakątków, gdzie natura zataiła resztki swoich skarbów — rzekłbyś, że teraz mści się ona za ten gwałt, na niej popełniony.

Pośród różnorodnych interesujących ekspedycji, projektowanych na początek wiosny w celu ratowania kopaczy w Klondyke, najbardziej godną uwagi jest wyprawa, przedsięwzięta przez dwóch Paryżan pp. Varielę i Maurycego Mallet. Zamierzają oni przedostać się do Dawson City balonem. Korzystając ze studyów, poczynionych dla wyprawy Andréego, zbudowali oni cztery olbrzymie balony, mogące przebywać w powietrzu bardzo długi czas i unieść stopniowo znaczny ciężar. Wyprawa p. Varielę zamierza wyruszyć z Juneau w Kwietniu, o ile tylko wiatr będzie sprzyjał. Aeronauci spodziewają się w ten sposób przepłynąć nad łańcuchem gór i niebezpiecznymi wązami, a następnie drogą lądową przewieźć do Dawson City około 4000 kilogramów żywności dla wygłodzonych kopaczy.

Należy się słuszny podziw i uznanie dla autorów śmiałego projektu. Lecz o ile chwalebna jest ich odwaga, o tyle zimna rozważa nasuwa poważną krytykę w tym względzie.

Przypuszczając nawet, że kierunek wiatru będzie przychylny wyprawie i że na zasadzie dokonanych już doświadczeń, przewidywania podróżników się sprawdzą, jakąż pomoc dostarczą oni nieszczęśliwym kopaczom? Cóż znaczą 4000 kilogramów żywności dla 3000, a nawet choćby i dla 1500 zgłodniałych? A reszta niemożna rzeczy, czy aeronauci dostarczą transport swój do Klondyke w całości. Jeżeli nawet wylądują oni szczęśliwie po drugiej stronie Chilkootu, np nad jeziorem Lindemana, trudy ich jeszcze nie będą ukończone. Okaże się potrzeba zbudowania sań, na których wlec trzeba będzie olbrzymi ładunek przez z górą 600 kilometrów. Być może rachują oni na to, że pod koniec Kwietnia rzeki będą już wolne od lodów, ale w takim razie cała wyprawa byłaby zbyt późną i cel jej chybiony, gdyż wtedy możnaby już pieszo przedostać się przez niedawno odkryty wąz Biały.

Tysiące innych zarzutów możnaby jeszcze podnieść przeciw projektowi p. Varielę, przeciw jego wykonalności i doniosłości praktycznej. Bądź co bądź, będzie to nadzwyczaj ciekawy przyczynek do rozwoju aeronautyki i nie pozostaje nam nic innego, jak życzyć odważnym podróżnikom sławy uwieńczenia przedsięwzięcia pomyślnym skutkiem, wbrew wszelkim pesymistycznym przewidywaniom.

IX.

Losy Alaski łatwe są do przewidzenia. Skoro takie masy złota zostały już wydobyte przez pierwszych przybyszów, rozporządzających minimalnymi środkami, zamieszkujących w tej jałowej puszczy nędzne chatki i mających ze sobą zaledwie tyle żywności, ile własnoręcznie unieść mogli, to, rzecz oczywista, grunty Klondyku zawierać powinny bogactwa bezprzykładne. Gdy do poszukiwań zastosowane zostaną ostatnie zdobycze wiedzy na podstawie trwałych zasad ekonomii, bez wątpienia plony okażą się bez porównania obfitsze i pozostawiają daleko w tyle zdobycze kopalni kalifornijskich, transwaalskich i australijskich.

Gdzież będzie kres dążenia poszukiwaczy złota na północ? Szkoda, że Nansen nie odkrył pokładów złota. Nie ulega wątpliwości, że już doszłaby nas wieść o powstaniu miasta z 10,000 mieszkańców na samym biegunie północnym.

W niedalekiej przyszłości drogi żelazne ułatwią komunikację z Alaską. Od fortu Wrangla jednej z najstarszych przystani tamecznych, parowce dochodzą do Glenory, z kąd droga żelazna doprowadzoną być może przez Telegraph-Creeck do jeziora Teslin; od tego zaś ostatniego reszta drogi do Jukonu i Klondyku odbywać się będzie znów na statkach parowych.

Prócz tego odbywają się studia przygotowawcze nad innymi kierunkami, tak, że już w roku bieżącym będzie można uczynić ostateczny wybór kierunku drogi stosunkowo niezbyt uciążliwej, a pewnej.

Tymczasem zaś, na skraju świata, trzy tysiące ofiar gorączki złota, trzy tysiące bogatych nędzarzy ginie bez ratunku...

S. P.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 8-my powieści, p. t. *Adolf Ribbing*, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. Tom II-gi.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami.

Szanownym prenumeratom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Rodzina i tradycja, przez J. Z.—Pogrzeb dryady, przez Włodzimierza Perzyńskiego.— Postacie niewieście w poezjach L. Kondratowicza. Studium psychologiczno-etyczne, przez Stanisława Ostrowskiego (dalszy ciąg).— Odczyty. II., przez Wł. Bukowińskiego.— Kazimierz Gliński. Krzywda. Powieść (dalszy ciąg).—Alaska i poszukiwacze złota (dokończenie).

Dodatek obejmujący: *Adolf Ribbing*, powieść, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. arkusz 8-my. Tom II-gi. — Przegląd mód. 22 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycja obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Kraków.-Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg. Дозволено Цензурою.—Варшава, 10 Марта 1899 г.

Fartuszek ze wstawkami szydełkowemi.

Rycina Nr 19 i 18 w Bl. Nr 11.

Na śliczny ten fartuszek użyty jest żółtawy jedwab surowy, doskonały do prania. Fartuszek 75 ctm. długi, zakończony wokoło szerokim obrębem, przybrany jest wstawkami szydełkowemi, wykonanemi z krętej bawełny w tym samym, co fartuszek kolorze. Wstawki naszyte są ażur, 8 razy, poprzedzielane pliskami z materji tej samej, co wstawki szerokości. Fartuszek zmarszczony przyszywa się do wstążki w dowolnym kolorze. Obie strony marszczenia, tworzącego podwójną bufkę, zakończone są podłużnymi kokardami.

Stoleczek pod nogi, pokryty wysyciem na płótnie „jawa.“

Rycina Nr 20 i 21 w Bl. Nr 11.

Stoleczek z jasnego drzewa, ozdobiony złoconiami, nieco wygięty, z przodu niski, z drugiej strony wsparty na nóżkach, ma 38 ctm. długi, i 24 ctm. szer. Pokrycie stoleczka wykonane jest płaskim ścięciem, grubą włóczką, w kolorach przeważnie ciemnych na materiale „jawa.“ Brzegi przykrycia przytrzymuje szlaczek z ciętego filcu, w kolorze terracotta, rogi zdobią rozety z tegoż filcu. przy nóżkach dodane są nadto kwasty. Deseń, jak wskazuje ryc. 21, składa się z podłużnych czworoboków. Poprzeczne ścięgi obejmują 4—6 nitki, skośne od 3—4. Dobór kolorów włóczek pozostawia się dowolny, najpraktyczniejszym wszakże, jako główny kolor zielony, w kilku odcieniach, następnie zaś. kolory: żółty, brudno-czerwony, brudno-niebieski i terracotta, ponieważ kolory te przy każdym prawie umeblowaniu dobrze wyglądają. Deseń tu wskazany użyty być może i do innych celów, jako pas na meble, szlak do portyer, kołder etc.

Ubranie na wesele lub na obiad proszony, przybrane pailletkami.

Rycina Nr 2.

Tualeta z blado-różowej, jedwabnej materji, z prawej strony spódnicy i na staniku wyszyta jest srebrnymi pailletkami. Przody stanika otwarte i wycięte w fantazyjne zęby, rozchodzą się na błozkowej, białej szmizetce z delikatnej koronki, namarszczonej na różowym spodzie i przytrzymanej paskiem z różowej, atlasowej wstążki. Rękawy, przy rękę w ząb zakończone, ułożone są przy ramieniu w fałdy i przybrane namarszczoną koronką. Taką koronką przybiera stojący kołnierzyk.

Ubranie na wesele, dla matki panny młodej.

Rycina Nr 3.

Nadzwyczaj dystygowana tualeta z czarnego materiału duchesse, na spodzie złocistym, składa się: ze spódnicy długiej, z jednego boku otwartej i podłożonej koronką crème, na tym samym złocistym spodzie i ze stanika w formie bluzki, ściągniętego w rodzaju chusteczki, podłożonego zaś drugim, gładkim stanikiem z jedwabnych, pasmanteryjnych wstawek. Stanik wierzchni przybrany jest taką samą koronką, jak spódnica. Na lewym ramieniu przypięty jest bukiet storczyków. Rękaw oszyty gładko, przy rękę koronką, górę przybraną ma draperyą z materiału i pasmanteryjnymi wstawkami.

Paltocik z odciętą baskiną, oraz kapelusz dla młodej osoby.

Rycina Nr 4.

Paltocik z sukna granatowego, przybrany jest wylęgami i kołnierzem odstającym Medicis, z ciemniejszego o cień aksamitu. Odcięta baskina przedłuża z przodu nieco stan i zupełnie gładko układa się na biodrach. Szwy z przodu i z tyłu, oraz brzeg paltocika, naszyte są sutaszem. Na podszewkę użyty jest jedwabny, w jasnym, dość krzyżującym kolorze, adamaszek. Fantazyjny kapelusik z żółtej słomy, przybrany jest puklami z materji granatowej w białe punkty, fantazyjną agrafą i egretą z białych rajskich piór.

Peleryna wiosenna, z boku zapięta.

Rycina Nr 6.

Peleryna z szaro-zielonego sukna, z przodami zaokrąglonemi, haftowana jest wokoło w palmy, jedwabiami: brudno-niebieskimi i różowymi. Zapięta na ramieniu, oszyta okrągłą krajaną falbaną, wykończona jest na jedwabnej podszewce w niebieskim kolorze. Tył peleryny zakończony w ząb, tworzy rodzaj chusteczki. Kołnierzyk Medicis, wyszyty jest białym crêpe-chiffon.

Paltocik wiosenny z haftem.

Rycina Nr 7.

Zupełnie wcięty, z jasno-szarego sukna, na białej jedwabnej podszewce, paltocik ten, zapięty z przodu na haftki, przybrany jest haftem z białego jedwabnego sznureczka, z pod którego wysuwa się suto plisowana falbanka z białej materji. Kołnierzyk i rękawy przybrane są odpowiednio.

Bluzkowy stanik z crêpe-chiffon i gipiury, oraz kapelusz.

Rycina Nr 8.

Podany przez nas model tworzy bardzo piękne zestawienie bolera z bluzką. Bolero wykonane jest z białej gipiury, zahaftowanej czarną sznelą, na plecach przedłuża się w kształcie stanika. Bolero z przodu rozchodzi się na luźnej bluzce z plisowanego czarnego crêpe-chiffon.

Bluzkę w stanie obcisła pasek z czarnej materji, przykrytej odpowiednią do bolera gipiurą, pasek spina piękna klamra, z pod której spływają długie plisowane końce. Wysoki kołnierzyk z zewnątrz przykryty gipiurą, wewnątrz wyszyty crêpe-chiffon podtrzymuje krepowa krawatka, związana na kokardę. Rękawy przybrane są w górze falbanami z plisowanego crêpe-chiffon. Oryginalny kapelusik z fantazyjnej czarnej słomianej pleśni, rondko oszyte ma marszczoną gipiurą. Resztę przybrania stanowią skrzydła i tiul haftowany w muszki.

Kostium angielski, przybrany pasmanteryjnymi szlaczkami.

Rycina Nr 9. (Krój odwr strona tabl. Nr XI, fig. 79—83).

Oryginalny kostium z zielonawo-niebieskiego materiału w deseń, składa się ze spódnicy gładkiej trzy razy naszytej, na przodach i wokoło, wązkim pasmanteryjnym szlaczkiem, oraz z paltocikowego, krótkiego stanika. Stanik z boku zapięty, linię z przodu wyciętą ma w zęby. Stanik spinają, trzy guziki w pośrodku, jeden przy kołnierzu i jeden w stanie. Naszyte ze szlaczka naśladowe na rękawach mankiety.

Ubranie, przybrane pasmanteryą.

Rycina Nr 10.

Bardzo strojne ubranie wiosenne w kolorze czerwono-lila, przybrane kosztowną, czarną pasmanteryą i jedwabną, jasną materją, składa się



Nr 1. Ubranie ślubne, atlasowe z trenem.
(Krój i opis pierwsza strona tablicy Nr I, fig. 1—15).

ze spódnicy zapiętej z boku i na szwie, naszytej pasmanteryą, oraz ze stanika z różowego jedwabiu, zahaftowanego białą i czarną sznelą, na którym, w formie gorscika, naszyte są patki z materiału, połączone pasmanteryjnymi spięciami. Pasek zastępuje wążka z materiału, spięta z boku na złotą agrafkę. Wążkie rękawy przy ramionach mają spięcia odpowiednie do patek na staniku.

Wiosenny kostium z paltocikiem.

Rycina Nr 12.

Skromny ten kostium z piaskowego covert-coat, składa się z gładkiej zupełnie, umiarkowanie szerokiej spódnicy i z paltocika, spiętego na ukrytą pod spodem patką i zakończonę z przodu i z tyłu w zab kraną baskiną. Paltocik przybiera szalowy kołnierz, tworzący jednocześnie kołnierz Medicis. Szwy paltocika i brzeg kołnierza, naszyte są szlaczkiem pasmanteryjnym.

Kapelusz, przybrany nenufarami.

Rycina Nr 13.

Kapelusz z białej ryżowej słomki. Rondko lekko wokół podwinięte. Główkę opasuje ukos jedwabnej zielonej materyi, kryjący się pod lekko udrapowaną białą gazą. Duży pęk nenufarów, przypięty z boku, zakrywa całą lewą stronę kapelusza.



Nr 2. Ubranie na wesele lub obiad prozorny, przybrane pailletkami.

Nr 3. Ubranie na wesele dla matki panny młodej.

Peleryna do spacerów rannych, z materiału double face.

Rycina Nr 14. Forma zmniejszona pierwsza strona tablicy, fig. 1).

Peleryna ta z materiału z jednej strony gładkiego, z drugiej w wydatną dużą kratę, składa się z dwóch części, jakby z dwóch peleryn, z których wyższa, oszyta jest trendzlą. Wysoki, odstający kołnierz, z dubeltowego materiału, zamyka się na spięcie z oksydowanego srebra.

Luźny paltocik, wysyty sutaszem.

Rycina Nr 16. (Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 40—42).

Wyszycie z czarnego jedwabnego sutaszu stanowi przybranie luźnego paltocika z ciemno-szafirowego sukna, pokrywa plecy, przody i rękawy. Cały paltocik wokół, licząc w to kołnierz i wyłogi, osyty jest 3 razy wążkim pasmanteryjnym szlaczkiem.

Sukienka z kaftanikiem, przybrana haftem, dla dziewczynki od 8—9 lat.

Rycina Nr 18. (Krój odwr. str. tablicy Nr XII, fig. 84—98).

Ubranie to z szaro-niebieskiego sukna, składające się ze spódnicy i krótkiego kaftkana, dopełnionem jest bluzkową szmizetką z ponsowego, w deseń



Nr 6. Peleryna wiosenna z boku zapięta.

Nr 7. Paltocik wiosenny z haftem.

Nr 9. Kostium angielski, przybrany pasmanteryjnym szlaczkiem.

(Krój odwrotna strona tablicy Nr XI, fig. 79—83).

Nr 8. Bluzkowy stanik z erèpe-chiffon i gipiury, oraz kapelusz.

Nr 11. Ubranie przybrane pasmanteryą.

Nr 11. Wiosenne ubranie, przybrane aplikacją.

(Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 65—72).

Nr 12. Wiosenne ubranie z paltocikiem.

Nr 13. Kapelusz przybrany nenufarami.

voile'u. Spódniczka i kaftanik przybrane są haftem, wykonanym jedwabiami do cieniu. Fig. 96 wskazuje deseń na spódniczkę, fig. 97 na wyłogach, fig. 98 na plecach. Na kołnierz i mankiety wybiera się figury ze wskazanego deseni. Spódniczka podszyta jest satyną, kaftanik pół-jedwabną podszwawką. Na wiosenną porę można pomiędzy podszwawkę i wierzch ułożyć molton.

Płaszczki i kapelusz dla chłopczyka od 3—4 lat.

Rycina Nr 20. (Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 73—78).

Z piaskowego sukna, na cieplej, flanelowej podszwawce, płaszczek ten przybrany jest jedwabną tasiemką w tym samym, co sukno kolorze. Tasiemką naszyta jest wokół peleryna i w całości przykryte wyłogi, oraz wykładany kołnierz. Wycięcie przy szyi zapełnia gładki, z boku zapięty napierśnik. Płaszczek opatrzony jest po bokach kieszonkami i zapięty na dwa rzędy rogowych guzików. Duży, okrągły, z jasnej słomy kapelusz, opasuje brązowa wstążka, długie końce spływają z tyłu.

Paltocik i kapelusz dla dziewczynki od 7—8 lat.

Rycina Nr 22. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 86—89).

Paltocik z jasno-szarego sukna, na szarej pół-jedwabnej podszwawce, zapięty jest kryto z boku. Kołnierz, małe wyłogi, oraz brzeg kaftana, do okola



Nr 4. Paltocik z odciętą baskiną, oraz kapelusz dla młodej o-oby.

Nr 5. Peleryna, przybrana wstążką, oraz kapelusz. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 60—64).

oszytymi są szlaczkiem z jedwabnej pleśni, czarnej z białym, prócz tego przód kaftana i plecy, przybrane są wyszyciem sznelką czarną i białą. Kapelusz z jasnej grubej pleśni z rondkiem, nieco odwiniętem wokół, przybrany jest ponsową wstążką.

Kapelusz wizytowy.

Rycina Nr 1 w Bluszczu Nr 13.

Prawdziwą nowość przedstawia kapelusz w formie toczka (styl Henri II) z fantazyjnej pleśni ponsowej, przedzielonej lekko namarszczoną żółtawą valencienną. Draperya z ponsowej gazy obejmuje toczek i z boku, przy wysoko podpiętem rondku, tworzy sutą rozetę, pęk maków i kosztowna egreta z rajskich piór dopełniają przybrania.

Wiosenny kapelusz, przybrany piórami.

Rycina Nr 4 w Bl. Nr 13.

Kapelusz z fiołkowego bastu opasują 2 duże strusie pióra do cieniu, spięte z przodu kokardą z fiołkowego aksamitu. Pukle z takiegoż aksamitu podpinają rondo, podniesione lekko z lewego boku.



Nr 14. Peleryna na ranne spacerzy, z materyału double face. (Forma zmniejsz pierw. str. tabl. fig. I).

Nr 15. Peleryna podróżna z przyszytą pod spodem kamizelką. (Krój i opis odwr. str. tab. Nr VII, fig. 52-59).

Nr 16. Luźny paltocik, wyszyty sutaszem. (Krój pierw. str. tablicy Nr V, fig. 40-42).



Nr 19. Ubranie weselne z tiunika i falbaną.

(Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 16 do 28).



Nr 20. Płaszczek i kapelusz dla chłopca od 3-4 lat. (Krój odwrotna strona tablicy Nr X, fig. 73-78).

Nr 21. Ubranie i kapelusz dla chłopca od 2-3 lat. (Krój i opis pierw. strona tabl. Nr III, fig. 29-35).

Nr 22. Paltocik i kapelusz dla dziewczynki od 7-8 lat. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 36-39).

Nr 17. Ubranie dla lalki (Krój odwr. str. tabl., fig. 101-108).

Nr 18. Sukienka z kaftanikiem dla dziewczynki od 8-9 lat (Krój, plecy i deseń odwr. str. tablicy Nr XII, fig. 84-98).

Pończochy
i
skarpetki
czarne
i fantazyjne.

Główny Skład Zakładów Żyrardowskich

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr 55,

otrzymał na sezon wiosenny i letni:

Płócienka, Satynki, Batysty, Dryliszki na ubrania męskie, dziecięce i liberyjne, Zefiry, Kretony, Firanki, Dywany, Portyery, Materyały meblowe.

Gotowa bielizna męska i damska.

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

PRÓBY I CENNIKI ODWROTNA POCZTĄ FRANCO.

UWAGA. Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru „Bluszczu.”